ROCZNIK X. MARZEC-KWIECIEŃ 1906. Tom III. - Nr. 3 i 4.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

* Turyn – Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ: Str.

Czwarty Zjazd Pomocników Salezyańskich.



Z okazyi 300-nej rocznicy św. Turybiusza, pasterza dyecezyi Mogrovejo, wiekopomnej działalności męża, ustanowił episkopat peruwiański, z ks. arcybiskupem Limy na czele, okazałe obchody jubileuszowe. Miasto Lima, gdzie spoczywają zwłoki biskupa, jest celem licznych pielgrzymek, i tam też koncentruje się cały ruch. Komitety organizują masy do wspaniałych manifestacyi religijnych.

Wobec tego olbrzymiego wrzenia, poruszającego wszystkiemi warstwami społeczeństwa owych republik, także synowie ks. Bosko chcieli okazać, iż gdzie idzie o cześć dla Kościoła, tam o pierwsze ubiegają się miejsce. Umyślili tedy urządzić w dzień uroczystości, 25-go marca br., generalny zjazd najznakomitszych naszych pomocników z rzplitych Boliwii i Perú. Zaproszono również wszystkich dyrektorów licznych zakładów salezyańskich z obu tych państw. Najprzew. ks. Jenerał przyzwolił na to, a Jego Eks. ks. arcybiskup Limy raczył stanąć na czele zjazdu w godności prezesa.

W skład programu wchodzą na pierwszem miejscu dwie kwestye: sprawa młodzieży robotniczej, i sposób skutecznego poparcia zwrotu ku umiejętnej uprawie roli. W tym celu wystawiono w kilku salach naszego zakładu liczne okazy zbiorów otrzymanych w szkółkach prywatnych i publicznych.

Program piękny i przytem bardzo umiejętnie rozdzielony pomiędzy poszczególne komisye, które przed zakończeniem zjazdu przedłożą walnemu zebraniu swe rezolucye, jak niemniej szczęśliwie dobrana okoliczność, zdają się rokować projektowanemu kongresowi niemałe powodzenie. Zasyłając uczestnikom nasze „Szczęść Boże" wyrażamy życzenie, aby skutki ich pracy zdołały utorować sobie drogę do szerszych kół społeczeństwa, ku pożytkowi wiary i ojczyzny.

A ujrzawszy go, minął.



Krótkie, lecz pełne głębokiego znaczenia są te słowa: *„A ujrzawszy go, minął,“* malujące zatwardziałość serca, brak współczucia i miłosierdzia u kapłana i lewity z przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Tem gorsze, że wyszły z ust wyznawców prawdziwego Boga, z ust stróży prawa i sług świętości, którzy obojętnie minęli bliźniego, pokaleczonego przez rozbójników i na pół umarłego.

W latach dziecinnych czytając tę ewangelię o miłosiernym Samarytaninie, dla tego właśnie oburzałem się na Żydów i lewitów. *A ujrzawszy go, minął!* Ileżto razy przyszły mi na myśl te słowa, gdy widziałem dobrych nawet katolików spoglądających sercem zimnem, wejrzeniem ponurem na potrzeby bliźnich swoich. I niejeden pewnie dzieli ze mną bolesne uczucia, jakie na ten widok zalewają duszę. Niejeden ze zgorszeniem oddala się od domu, gdzieby ujrzał tabliczkę z napisem: tutaj wstęp żebrzącym wzbroniony; niejeden za ciężkie przewinienie gotów sobie poczytać, gdyby podróżny głodny odszedł od jego bramy: i słusznie. Lecz jakżeż wielu zapomina często, iż nie samym chlebem żyje człowiek!

Dla twojej, drogi czytelniku, przestrogi, przedstawię ci obraz, jaki we śnie widziałem: tobie zostawiam sąd, czy jest on możliwy, czy też nie.

Na publicznej ulicy, na której przechadzały się gwarząc głośno i wesoło strojne tłumy, siedziała na drewnianym stołeczku żebraczka, a tuż obok niej leżały szczudła. Ubranie jej w strzępach, zabłocone po pas, włosy rozczochrane, oko na pół zamknięte, twarz czerwona, nabrzmiała, świadczyły, iż wódka była jej zwykłym napojem; zaś wyraz twarzy na pierwsze wejrzenie przekonywał, iż życie biedaczki było burzliwe, występne.

Widok tej ruiny ciała ludzkiego, liczącej co najwięcej lat czterdzieści, przejął mnie odrazą, ale i litością. Zapytałem sam siebie, czy Dobry Pasterz zapomniał o tej zgubionej owieczce? Czy łaska Boża odwróciła się na zawsze od jej serca?

I danem mi było czytać w tem sercu. Widziałem, iż wspomnienia przeszłości, upomnienia rodzicielskie, słowa nauczyciela i katechety nie uleciały bezpowrotnie. Tęsknota za pięknymi, swobodnymi dniami młodości ogarniała czasem tę nieszczęśliwą duszę i wstrząsało nią obrzydzenie przed własnem zepsuciem; miewała jakby popędy do skruchy i pokuty. Lecz gdy wyrzuty sumienia wzmagały się, chwytała za kieliszek z wódką, by je zagłuszyć.

Niejakiś czas litość walczyła z odrazą, lecz trwało to krótko: uczułem dla nieszczęśliwej szczere współczucie. Pomyślałem o jej dziecinnych latach: musiała i ona być niegdyś młodą, niewinną dziewczyną. Biada temu, który pierwszy wprowadził w tę duszę grzech! Gdyby opieka rodziców lub krewnych była rzetelniejszą, lub gdyby po pierwszych upadkach jaka delikatna ręka była ją

ujęła i podźwignęła, byłaby dziś uczciwą niewiastą. I już miałem gotowy artykuł do matek i pań chrześcijańskich, gdy nagle rzecz inny wzięła obrót.

Do żebraczki zbliżyła się poważna pani, w skromnem ubraniu czarnego koloru, i rzekła do niej, widząc jak zapijała wódkę:

— Kobieto, dlaczegóżto pijecie tę truciznę?

— To mię pokrzepia, odurza, rozmarza, a w tem rozmarzeniu zapominam o mej nędzy.

— Ale przecież są inne środki, by nędzę i nieszczęście łatwiej znosić.

— Znosić, znosić: ja nie chcę znosić, ja chcę zapomnieć.

— Rozważże nieszczęsna, iż jeżeli pójdziesz dalej tą drogą, to przyjdzie czas, że już nie będzie można zapomnieć.

— Ah, tak! rozumiem: pani myśli, gdy mnie dyabli porwą — odrzekła na pół pijana z piekielnym uśmiechem na ustach.

— Czy chcesz istotnie popaść w ich szpony? Zastanów się: jeszcze może czas uniknąć przepaści piekła. Chętnie dopomogę ci do tego.

— Teraz już zapóźno: już wszystko stracone, moja dusza, moja młodość, moje życie. — Chcesz mi teraz dopomódz? daj mi na wódkę: na co innego już zapóźno.

— I cóż ty za słodycz znajdujesz w tem grzesznem życiu, kiedy go się wyrzec nie chcesz? Czyż ci ono przyniosło kiedy choć chwilę szczęścia, spokoju?

— Szczęścia, spokoju? Nie, tego nigdy nie zaznałam, odrzekła żebraczka. — Mojem serdecznem życzeniem było wydostać się z tego piekła, do którego uczułam wstręt i odrazę; wtedy byłam jeszcze młoda, i od niedawna kroczyłam drogą występku. Starałam się dostać do służby, by rzetelnie zarobić na chleb powszedni: lecz niestety! nikt nie chciał przyjąć do domu upadłej dziewczyny. Byłam w rozpaczy: opłakiwałam rzewnemi łzami moją niedolę. Słyszałam dzwon, wzywający na modlitwę, lecz nie miałam odwagi wstąpić do kościoła: zdawało mi się, że każdy czyta na mej duszy piętno występku. Bez zajęcia, głodna, opuszczona, zziębnięta, nie wiedziałam co począć. Matka wprawdzie mówiła mi zawsze: Raczej umrzeć, niż zgrzeszyć — ona z pewnością byłaby z głodu umarła, ja atoli nie posiadałam hartu jej duszy. Ogarnęła mnie rozpacz: Bóg ci nie pomaga — myślałam — to niechaj dyabli pomogą, a w końcu mogą mnie i zabrać. Szał mnie opanował, rzuciłam się ponownie w wir życia na straszną walkę z własnem sumieniem.

Pewnego dnia wczesnym rankiem, po nocy spędzonej na rozpuście, spotkałam mężczyznę spieszącego prędkim krokiem zdaje się do kościoła, dokąd właśnie dzwony wzywały wiernych. Postać tego pana, spieszącego na modlitwę, poruszyła mnie znów do żywego: odraza do występku wystąpiła silniej niż zwykle, silna chęć poprawy i wstąpienia na drogę cnoty uśmiechały się do mnie. Pomyślałam: on ci dopomoże, on ci musi dopomódz! — Nie zważając na moje zaniedbane ubranie, stanęłam przed tym jegomościem i zapytałam, czy nie wiedział o jakiej służbie, o jakiem dla mnie zajęciu. — Nie, nic nie wiem — odrzekł szorstko, i poszedł dalej. — Jesteś głupią waryatką, rzekłam do siebie, że jeszcze próbujesz zarabiać uczciwie na kawałek chleba; jeżeli nie chcesz umrzeć z głodu, rzuć się w błoto ponownie. Ludzie są okrutni i nie podadzą pomocnej ręki temu, który raz miał nieszczęście wpaść w przepaść.— Była to ostatnia próba, ostatnie usiło-

wanie by się poprawić. Podjęłam dotychczasowe życie, ale w duszy złorzeczyłam temu, który mnie odepchnął; chciałabym była wtrącić go do piekła tego okrutnego człowieka, który bez miłosierdzia minął mnie i pozostawił w nędzy i grzechu.

Na te słowa pijanej żebraczki trwoga mię ogarnęła, zimny pot wystąpił mi na czoło. A gdy kończąc swe opowiadanie wyrzekła straszne przekleństwo, i przytem oczy wzniosła w górę, bladość śmiertelna pokryła me oblicze: tak, poznałem ją; to ja niegdyś spotkałem ową dziewczynę, jej przekleństwo do mnie się odnosiło, ja byłem winnym jej upadku. Przypominam sobie wyraźnie ów poranek, gdy spiesząc do kościoła ujrzałem to rozczochrane, zdziczałe stworzenie. W chwili, gdy mnie zagadnęła, ogarnął mnie taki wstręt, że bezmyślnie prawie wyrzekłem: nic nie wiem, i prędko oddaliłem się. Lecz ledwiem zrobił parę kroków, coś mię żywo upomniało bym wrócił, pomówił z nią, umieścił w klasztorze, i oddał w ten sposób Dobremu Pasterzowi. Walczyłem z sobą czy pójść czy nie pójść, a tymczasem przybliżałem się coraz bardziej do kościoła. Przy samej bramie jeszcze się raz obejrzałem: dziewczyna znikła gdzieś za domami, a za mną postępowało kilka znajomych mi osób. Wstyd mnie było wracać od samych drzwi kościoła: przemógł wzgląd ludzki; chociaż pełen wyrzutów sumienia, wszedłem do wnętrza. Często mi potem stawała na myśli ta dziewczyna: jakże chętnie byłbym uczynił dla niej to, do czego wówczas napróżno napominał mnie głos sumienia. Ale na nieszczęście nigdy jej nie spotkałem. W końcu poprzestałem na odmówieniu pacierza za jej nawrócenie, a teraz całkiem niespodzianie miałem przed sobą ofiarę mego niedbalstwa.

Miłosierna pani starała się uniewinnić tego mężczyznę, któremu żebraczka całe życie złorzeczyła; starała się przekonać ją, że jeszcze czas ratować duszę, nawrócić się do Boga.

— Zapóźno — wyrzekła nieszczęśliwa z szyderczym uśmiechem; przyłożyła flaszkę do ust, i jednym haustem wypiła całą jej zawartość.

Ciężko wzdychając, oddaliła się poczciwa staruszka: straciła bowiem wszelką nadzieję nawrócenia upadłej. Ta też podniosła się po chwili i chwiejnym krokiem potoczyła się ku domowi. — Obok lepianki, w której zamieszkiwała ciemną dziurę, płynął potok. Szukając mostku, gdyż ciemno się już było zrobiło, wpadła na kamienie do wody i z przekleństwem poszła do piekła.

To powiastka, która atoli każdej chwili może przybrać formy rzeczywistości w czasach obecnych. Przezacni Pomocnicy: naszym to obowiązkiem ratować młodzież, bez względu na jej stan i płeć. Było już wymówką bratobójczego Kaina: *zalim ja jest stróżem brata mego?* — nam zaś: *każdemu z osobna dał Bóg rozkazanie o bliźnim swoim.*

Ludzkość biedna wpadła między zbójców, z tysiąca ran płynie krew nieszczęśliwych. Obowiązkiem tedy wszystkich, którzy chcą być uczniami Chrystusa, pracować nad jej uratowaniem, zawiązać te rany, nalać w nie oliwy i wina. Niech się nie zdarzy, aby komuś z naszego szeregu można uczynić zarzut:

A ujrzawszy go, minął.

Złoty jubileusz kapłaństwa Jego Św. Ojca Św. Piusa X.

Nie przebrzmiało jeszcze echo imponujących objawów czci i gorącego uczucia, z jakimi świat katolicki kładł się u stóp nieśmiertelnej pamięci Papieży Piusa IX. i Leona XIII., ilekroć stateczne koło lat przynosiło im w darze jubileusze kapłaństwa, biskupstwa, papiestwa; nie ostygł również dotąd entuzyazm, wywołany wówczas nawet u najobojętniejszych. I dziś, gdy szatan nowe gotuje zapasy, gdy jakby w przeczuciu zbliżającego się po raz drugi Chrystusa, z podwojoną energią uwija się po niwie Jego Kościoła, dziś właśnie, gdy Łódź Piotrowa zakołysała się gwałtownie pod ciosem, wymierzonym przez apostazującą Francyę, oto nowa wspaniała okoliczność, Złote Wesele kapłaństwa łagodnego i dobrodusznego Piusa X. połączy wszystkich jego synów, którzy ukoją żale znękanego Starca i, da Bóg, skarcą niesforną zgraję.

Dnia 18. września 1907. otworzy papież ze zwykłemi ceremoniami świętą bramę, co stanowić będzie początek miłościwego lata; a niezwykłe uroczystości zapowiadają się już dziś na jego zamknięcie, na dzień 18. września 1908.

Niedaleką więc jest rocznica szczęśliwego dnia, w którym ks. Józef Sarto, bogaty w wiedzę i pełen świętej miłości i zapału, stanął po raz pierwszy, wobec uszczęśliwionej rodziny i wśród głośnych błogosławieństw swych ziomków, u ołtarza wiejskiego kościółka jako rzecznik pokoju i szczęścia dla ludzi dobrej woli. — Obecnie po latach pięćdziesięciu ubogi syn z Riese, wywyższony ponad książęta, złoży z swej złocistej stolicy tęsamą ofiarę u tronu Najwyższego Majestatu, a przy jego boku stanie Kościół troisty i wierni całego świata, wznoszący oklaski i głośne hozanna.



Ojciec św. Pius X.

W Bolonii zawiązał się już międzynarodowy komitet, którego celem urządzenie wspaniałych manifestacyi wszechświatowych na cześć Stolicy Apostolskiej i jej obecnego przedstawiciela, łagodnego i pełnego słodyczy Piusa. Zamierza on również zebrać z groszowych składek jałmużnę na Mszę Jubileuszową. Wręczy ją Ojcu

św. w sam dzień uroczystości episkopat zebrany w Rzymie i deputacya komitetu, z prośbą o odprawienie jej za cały świat katolicki i na poszczególne intencye ofiarodawców. Tenże komitet zwraca się z gorącem wezwaniem do wszystkich wiernych i przywiązanych synów papieża, aby nie ustawali w modlitwach celem uproszenia uciszenia tych nawałnic, które miotają Kościołem. Sprawi to, iż Głowa Kościoła nowym zapromienieje blaskiem, i ukaże się w ciągu miłościwego lata pogodna i uśmiechnięta.

Podając to do wiadomości naszych Czytelników, wyrażamy tę błogą nadzieję, iż Pomocnicy Salezyańscy, których tak liczne i silne więzy łączą ze Stolicą św., nikomu nie dadzą się wyprzedzić w objawianiu Jej uczuć czci i miłości. W swoim czasie powrócimy do tego przedmiotu i poinformujemy łaskawych Czytelników o wszelkich ważniejszych postanowieniach, dotyczących organizacyi obchodów. Atoli już dziś zachęcamy do pracy społecznej, kogo ona dotyczy, aby nie stanąć z próżnemi rękoma przed Papieżem; wszystkich zaś prosimy o modły za zdrowie i pomyślność Najwyższego Hierarchy.

Nowomianowani Kardynałowie.

Na ostatnim konsystorzu podniósł Ojciec św. do najwyższej godności w Kościele czterech zasłużonych mężów, pełnych gorliwości dla sprawy bożej, których działalność od lat kilkudziesięciu słonecznym jaśnieje blaskiem.

J. Em. Ks. Kardynał Arcoverde de Albuquerque Cavalcanti

Arcybiskup w Rio Janeiro.

Pierwszy to kwiat episkopatu amerykańskiego, przywdziany purpurą.

Urodzony w roku 1850. z szlachetnej rodziny, studyował w Rzymie w założonem przez Piusa IX-go Collegium Americanum. Wyświęcony w roku 1876. powrócił do Ojczyzny, gdzie zaraz objął katedrę filozofii w seminaryum duchownem. Następnie powierzył mu papież kuraturę dyecezyi Goyaz, skąd go Leon XIII powołał jako sufragana do San Paulo, prekonizując go na tytularnego biskupa Argos. Wnet atoli, będąc w stanie ocenić należycie zalety i rzadkie przymioty młodego infułata, posadził go roku 1897 na stolicy arcybiskupiej w Rio Janeiro.

Purpura słusznie należała się jego osobie za tyloletnie prace; zaś katolickiej części Ameryki składamy wyrazy szczerego powinszowania takiego zaszczytu.



J. Em. X. Kardynał Arcoverde.

Kardynał Cagiano de Azevedo

Urodzony we Frosinone we Włoszech roku 1845. Młodość spędził w słynnym konwencie Grotta Ferrata: tam kończył swoje studya, został doktorem obojga praw i święcił się na kapłana r. 1868. Pius IX-ty mianował go kanonikiem przy bazylice Santa Maria Maggiore, a Leon XIII. przeniósł go do kapituły watykańskiej. W roku 1892. powierzył mu tenże papież delikatny urząd Maestro di Camera i Maggiordomo. Cechuje jego wybitną działalność głęboka pobożność, a szczególnie gor-

liwe krzewienie nabożeństwa do Niepokalanej. W parze z jego znaną powszechnie pokorą idzie wyjątkowa roztropność i przezorność, które to zalety włożyły nań obowiązki *gubernatora conclavis* po śmierci śp. Leona XIII.

Kardynał Józef Samassa

Arcybiskup w Eger.

Pochodzi z Aranyós-Maroth na Węgrzech. Studyował we Wiedniu; był nauczycielem,



J. Em. X. Kard. Spinola.

potem prefektem a w końcu profesorem w seminaryum duchownem w Ostrzyhomiu (Gran), a dłuższy czas zasiadał również na katedrze uniwersytetu w Budapeszcie. Prekonizowany na biskupa, odznaczył swój pobyt w dyecezyi przedewszystkiem licznemi zabiegami koło restauracyi zabytków średniowiecznych. W roku 1871 przeniesiony został na stolicę arcybiskupią w Eger. Najulubieńszem polem jego działalności było zakładanie seminaryów duchownych, szkół ludowych, ochronek i pensyonatów żeńskich.

Czwarty, któremu najszczersze posłaliśmy powinszowania, ponieważ łączyła go ze Zgromadzeniem Salezyańskiem gorąca, niezachwiana od pierwszej chwili poznania przyjaźń,

Jego Em. Ks. Kardynał Marceli Spinola

pogrążył całą rodzinę salezyańską w głębokim żalu z powodu swej przedwczesnej i nieprzewidzianej śmierci, która nielitościwie i bezwzględnie go zabrała w niespełna miesiąc po nominacyi. Życiorys jego i zasługi podane w nekrologu.

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy Salezyańscy w miesiącu marcu i kwietniu.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącach marcu i kwietniu następujące odpusty:

A — *Zupełne:*

a) W dzień Zwiastowania Najśw. Panny (25 marca).

b) W dzień Siedmiu Boleści Najśw. Panny (w piątek po niedzieli pasyjnej).

c) W Niedzielę Palmową.

d) W Wielki Czwartek, dzień ostatniej Wieczerzy Pana naszego Jezusa Chrystusa.

e) W Wielkanoc.

f) W dniu przez każdego dowolnie obranym.

g) Ilekroć odmówią 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu na intencyę Głowy Kościoła. Zob. numer poprzedni (str. 34).

B — *Cząstkowe:*

Prócz dni w zeszłym numerze wymienionych,

a) W czwartą niedzielę Wielkiego Postu (25 marca): *odpust 15-tu lat i tyluż kwadragen.*

b) W Wielki Piątek i Wielką Sobotę: *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

c) W każdy dzień Wielkiego Postu: *odpust 10. lat i tyluż kwadragen.* Prócz tego przywodzimy na pamięć liczne i cenne odpusty, przywiązane do obchodów drogi krzyżowej. Krzywdę niepowetowaną wyrządziłby własnej duszy, ktoby ją tych skarbów pozbawił. A zresztą cóż słodszego dla chrześcijanina, nad rozpamiętywanie Męki naszego Zbawiciela, która nam niebo otwarła i byt nasz na tej ziemi uczyniła znośnym?

Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

Groźne zapowiedzi. — Rewizya. — Meetyng przeciwko zakonnikom. — U generała Alfaro. — Konsul niemiecki. — Napad na pałac arcybiskupi.

Pośród tej burzy, która z hukiem i trzaskiem szła przez kraj, Salezyanie zażywali błogiego spokoju. Nie mieszali się wcale do polityki; to też wieści o wojnie odbijały się jedynie o mury otaczające ich zakład, w nim zaś (jak poprzednio) po modlitwie następowała praca, po pracy rekreacya żywa i wesoła. Zdarzało się tylko tedy i owedy, iż który z krewnych jakiego wychowanka udzielał mu nowin o wojnie bądź listownie, bądź przy odwiedzinach. Chwilowo zapalały one żywsze temperamenta, wskutek czego zawiązywały się kółka gimnastyczne i tym podobne rzeczy właściwe ich wiekowi: lecz wnet przemagało poważne i przyjacielskie słowo przełożonego. Modlono się jedynie o rychły spokój dla ojczyzny.

Z tem wszystkiem policya nie mogła spać spokojnie. Wyobrażano sobie ciągle dom ten pełen bomb i maszyn piekielnych, a w spokojnych jego mieszkańcach upatrywano tajnych spiskowców tem niebezpieczniejszych, iż rzekomo podstępnie i cichaczem kuli zdradę przeciwko rządowi antyklerykalnemu.

Pewnego dnia nad wieczorem przychodzi komisarz policyi, i nie zawiadomiwszy nikogo, wstępuje do drukarni.

Proszę wszystkich panów opuścić natychmiast ten lokal, zawołał, stając we drzwiach.

Nikt go się nie spodziewał, a tem mniej o tej godzinie: nikt też nie myślał stawiać najmniejszego oporu; kilka chwil potem drzwi się zamknęły i komisarz sam, bez świadków, zaczął akuratną rewizyę pracowni. Przebiegł wszystkie pisma, świeże i starszej daty, pisemka ulotne, płyty metalowe i kamienne: niczego nie zostawił na swojem miejscu, a nakoniec wyszedł chmurny jak noc, i groźną miną zdawał się mówić: schowaliście dobrze tą razą, ale mi to zapłacicie. Chłopcy odprowadzali go trwożnym wzrokiem, gdy naraz przystąpił do niego dyrektor zakładu. Oburzył się był nieco na podobny sposób postępowania, i uznał za swój obowiązek zażądać jakich wyjaśnień. Zapytał tedy uprzejmie, choć głosem nieco stanowczym:

— Przepraszam bardzo pana komisarza, dlaczegóż taka niespodzianka?

— Bo takie były rozkazy.

— Lecz czy wolno zapytać o przyczynę? Pan komisarz zatrzymał mi ruch w dwu najruchliwszych salach, co się bez szkody nie obejdzie, i zastraszył moich chłopców, wypędzając ich od pracy jakby winnych nie wiem jakiego przestępstwa. Możnaby wiedzieć dlaczego mi to zrobiono?

— Z tej drukarni miały wyjść niedawno temu artykuły podburzające przeciw nowemu rządowi.

— O ile ja jako dyrektor wiem, nic podobnego tutaj nie drukowano; a w razie gdyby bez mojej wiedzy i wbrew moim najsurowszym zakazom coś podobnego stąd wyszło, pierwszybym przeciwko temu zaprotestował i wniósł o ukaranie winnego. Czy pan przypadkiem znalazł coś podobnego?

— Na razie nic.

— A widzi pan! Proszę szukać i cały dzień; nic się tu kompromitującego nie znajdzie, byle tego kto z cudzych nie wniósł.

Komisarz odszedł w złym humorze i widocznie nie przekonany o prawdziwości słów dyrektora, gdyż odtąd często uczuli go nasi na tropie za sobą. Atoli nie sami tylko nasi byli solą w oku rewolucyonistom: wszystkie bowiem zakony czuły na sobie rękę bezbożną. Bez sądu i wyroku aresztowano a potem wydalono z granic państwa rektora seminaryum Ks. Ks. Misyonarzy; tenże sam los spotkał przeora OO. Dominikanów oraz ich mistrza nowicyuszów, mężów nieskalanych jak śnieżne habity, którymi byli odziani. Duchowieństwo stolicy musiało szukać schronienia w mieście peruwiańskiem Limie, gdzie znalazło już ge-

neralnego wikaryusza miasta Quito i biskupa z Loya. Na prowincyi nie działo się lepiej: proskrypcya ścigała najspokojniejszych obywateli. Kto się otwarcie i hałaśliwie za nowym rządem nie opowiedział, uchodził w czujnych oczach państwowej administracyi za niebezpiecznego wroga, którego też zaraz silne ramię policyi usuwało z widowni politycznej. Kogo zaś nie można się było pozbyć pod żadnym legalnym pozorem, a obawiano go się, temu urządzano pod oknami kocią muzykę w formie politycznych demonstracyi ulicznych. Raz urządzono sobie taki meetyng z pochodami i śpiewami, skierowany wyłącznie przeciw zakonnikom. Na rynku zapalał jakiś gołowąs zwykłymi w takich razach kwiatkami oratorskimi animusz kilku zebranych włóczęgów, których to prowodyrzy od czasu do czasu w miarę brzmienia przemowy przynaglali kułakami do okrzyków: wiwat lub na pohybel. Ponieważ awantura ta zapowiedziana była już od kilku dni, zakonnicy przygotowani byli na wszelki wypadek, o co zresztą nie było trudno z tą ciemną hajdamacką tłuszczą. Nasi również gotowi byli do zbrojnego oporu. Przynaglali ich do tego liczni dobrodzieje, którzy inaczej nie mogli im pomódz, sami czując się bezsilni wobec przemocy, a zwłaszcza rodzice i krewni wychowanków, zaliczający się do kwiatu arystokracyi miasta.

— Jeżeli tłum znajdzie siłę przeciwko sile, pójdzie sobie: inaczej biada wam.

— Wasi chłopcy niech pokażą, iż darmo chleba nie jedzą.

Pomimo największej ostrożności, nie mogło to całkowicie ujść uwagi tychże chłopców. Z kilku niebacznie rzuconych słówek domyślili się całej prawdy, i zaraz odżyli w nich bracia legii Aniołków.

— Chcą nas odwiedzić? — Ano prosim: niech przyjdą! Niechno się który pokaże! W sam dzień okrzyczanego na wszystkie strony meetyngu nie mogło być mowy o posłaniu ich na spoczynek: około północy mieli się zjawić demonstrujący. Wszystkie laski, kije, żerdzie znikły z podwórza gospodarskiego, i skoro się ściemniło, u każdej bramy stało po kilku żylastych obrońców, gotowych sypać ile się zmieści każdemu, coby się odważył ukazać w bramie. — Była godzina jedynasta, gdy krzyki, śmiechy, wrzaski, godne stada hordy tatarskiej, zamąciły spokój nocny. To pochód się zbliżał. Zatrzymano sztandar przed bramą i ucichły gwary; widocznie naradzano się czy warto robić awantury, gdyż tłum złożony z kilkudziesięciu tęgich obywateli stał tam na straży i nie na żarty potrząsał bronią. A za bramą co ich mogło czekać, skoro tam światła pozapalane i wszystko musi być przygotowane na przyjęcie? Nie inaczej jak wskutek tych uwag poszli dalej, gdyż ani jeden żandarm nie ukazał się w czasie całej burdy.

Gdy już za rzędami domów przycichły nieskromne pieśni rewolucyonistów, wtedy dopiero nasi obrońcy i dzielni chłopacy poopuszczali swe miejsca; światła jednak pozostały pozapalane przez całą noc, a dwu ludzi kolejno co godzina luzowało się na straży. To wszystko było już zbyteczne, gdyż tłum raz doznawszy zawodu, nie pokazał się więcej.

Nazajutrz był dyrektor u gen. Alfaro, a wyraziwszy swe ubolewanie z tego powodu, rzekł:

— Prócz tego krąży pogłoska, iż demonstranci gotują nowy meetyng, skierowany wyłącznie przeciwko nam.

— Gdyby to miało być prawdą, wiedziałbym coś o tem od mojej policyi.

— My przecie, panie generale, nie zajmujemy się polityką.

— A jednak ja wiem, że istnieje spisek przeciwko mnie: wiem o tem na pewno, i nie mylę się.

— Musiałbyś pan nie być głośnym ze swej przenikliwości generałem Alfaro, byś go nie miał wykryć od pierwszych jego zawiązków. Taka czujność jest nawet obowiązkiem mężów politycznych, zwłaszcza w chwilach, jak obecna, przełomowych. Lecz ja, zamknięty w murach mego Protectorado, cóż ja o tem mogę wiedzieć.

— Niech się ks. Dobrodziej da przekonać, że istnieje tutaj straszne, dobrze zorganizowane i liczne stronnictwo przewrotu, które chciałoby wydrzeć mi władzę, złożoną w me ręce przez tę oto szablę i przez wolny lud republiki.

— Czy pan generał posądza o wspólnictwo Salezyanów?

— Na razie nie mam dowodów. Zresztą

*

cenię ich prace i zasługi, i przy pierwszej sposobności myślę okazać im moją wdzięczność.

To rzekłszy, dał znać, iż posłuchanie skończone. Dyrektor wychodził z jakąś połowiczą nadzieją, która go atoli zaspokoić nie mogła. Niepewność jutra wobec odpowiedzialności za tylu chłopców i za pokaźną liczbę współbraci, nie pozwalała mu spocząć. Jedną jeszcze drogą mógł się zapewnić: u konsula niemieckiego. Człowiek ten, pomimo że wyznania protestanckiego, okazywał nam szczerą przychylność i z troskliwością śledził nasze sprawy. Od niego też po większej części dowiadywaliśmy się o praktykach przeciwko nam. I teraz, gdy mglista przyszłość nie zdawała się nic dobrego wróżyć, do niego udał się ks. Calcagno, aby się na tej drodze wywiedzieć czegoś pewnego o tajnych zarzutach i o przygotowywanym nam losie. Konsulowi przypadło wielce do serca położone w nim zaufanie; wysłuchał uważnie opowiadań dyrektora, a w końcu rzekł:

— Na teraz nie potrzebujecie się niczego obawiać. Dziś jeszcze będę u Alfaro, i prawdopodobnie uda mi się nakłonić go do zostawienia was zupełnie w spokoju. Czasy to naprawdę straszne, stronnictwa roznamiętnione do najwyższego stopnia. Niech Bogu dziękuje, kto dziś nie potrzebuje rzucać się na niepewne morze polityki.

— Święte słowa pana konsula: one też były dotychczasową moją zasadą.

— Jestem o tem jak najzupełniej przekonany, ale niestety nie wszyscy temu wierzą. Tymczasem atoli nic wam nie grozi: do jutra będziecie wiedzieli o wyniku mojej rozmowy z generałem.

W samej rzeczy tegoż dnia był u generała. Rozmowa spokojna, przyjacielska, dotyczyła wypadków chwili, aż ją w końcu konsul z umysłu skierował na zaburzenia w stolicy. Spojrzał bystro w oczy prezydenta, jakby chciał wyczytać najtajniejsze myśli na dnie jego duszy, i tak się odezwał:

Mówią po mieście, iż Wasza Ekscellencya nosi się z myślą wydalenia z Quito Salezyanów.

— Owszem przebąkiwano, iż mają opuścić stolicę w nocy, pod eskortą, jak Kapucyni.

— Mamże temu wierzyć?

— Ja nic nie mam przeciwko Salezyanom, i życzę sobie, aby wiedziano o tem mojem oświadczeniu. Gdyby im atoli w przyszłości dowiedziono jakiego przestępstwa, nie pokryjomu, ale w biały dzień każę ich wyprowadzić z granic mego państwa.

Czyż podobne słowa nie były aż nadto uspokające? Tak je też przyjął poczciwy konsul, i mogły one być nawet rzeczywistem przekonaniem generała. Tymczasem w tychże dniach działy się rzeczy nader groźne dla partyi katolickiej.

Napady na mieszkania osób duchownych były na porządku dziennym; najprzód doznały ich klasztory męskie i żeńskie, aż wreszcie przyszła kolej na pałac arcybiskupi. Był to krok ważny, świadczący o głębokim upadku ducha religijnego, a przeto doniosły moment walki kulturalnej, który zapisał się krwią i zgrozą w dziejach rewolucyi.

Widziano tam rzeczy okropne, sceny barbarzyańskie. Zastawszy bramy pałacu zatarasowane, chwycił tłum za siekiery; lecz gdy po godzinie pracy nie było nadziei dostania się do wnętrza, wywarto gniew na pobliskim gmachu konsystoryalnym i drukarni biskupiej. Naraz kilka budynków stanęło w płomieniach, dokoła których wył parusetny sfanatyzowany tłum, dzikszy od niszczącego żywiołu. Schronieni w pałacu mieli do wyboru albo zginąć w płomieniach, albo na torturach przy śmiechach tłuszczy. Kilku tylko zdołało ujść, reszta spłonęła. Widok krwi roznamiętnił tłumy. Cała hałastra poszła wprost na konwenty OO. Kapucynów, Pijarów i Misyonarzy. Jedynie flagi innych narodowości ochroniły ich przed podobnym losem. Kto mógł uchodził do blizkiej Kolumbii.

Czyż wobec tak oczywistego prześladowania mogli się łudzić nasi misyonarze?

(Ciąg dalszy nastąpi).

MISYE SALEZYAŃSKIE

MATTO GROSSO—BRAZYLIA.

Misya wśród Indyan Koroados — Boröros. — Kolonia Najsł. Serca Jezusowego.

(Sprawozdanie misyonarza salezyańskiego ks. MALAN).

Kujabá, 15. sierpnia 1905.

NAJPRZEWIELEBNIEJSZY
I NAJDROŻSZY OJCZE!

ZEBRAŁEM tą razą liczny zapas nowin, które niewątpliwie sprawią bardzo wielką radość twojemu ojcowskiemu sercu, jak niemniej wszystkim tym drogim naszym współpracownikom i dobrodziejom, którym tak bardzo leży na sercu podźwignięcie materyalne i moralne ludów, brodzących jeszcze w wieku dwudziestym w ciemnościach pogańskich zabobonów. A jeżeli obecnie królestwo boże znacznie się do tych nieszczęśliwych dusz przybliżyło, dzięki niech za to będą Bogu na pierwszem miejscu, a potem wszystkim dobrodziejom, którzy tak wielkodusznie popierają nasze prace misyjne.

Ukończywszy długie ale niezbędne przygotowania, pożegnał się dnia 17. maja ks. Jan Salvetti ze swoimi współbraćmi, i na czele siedmiu młodych misyonarzy wyruszył w drogę do osady Najsł. Serca Jezusowego. Szesnastoletni Sabino, odważny i piękny młodzian, służył ze swymi dwoma Indyanami za przewodnika.

Ja byłem zmuszony odroczyć mój wyjazd z powodu kilku ważnych spraw, które koniecznie musiały być załatwione, i dopiero 24. maja, uprosiwszy sobie wspaniałą uroczystością pomoc Królowej Nieba, mogłem wyruszyć w drogę. Towarzyszył mi nasz braciszek J. Gabet i młody Franciszek Pius Bueno, gorliwy wiceprezes towarzystwa św. Alojzego Gonzagi. Zatrzymaliśmy się jeszcze całe dwa dni w sąsiedniej osadzie Coxipó da Ponte, w naszem Oratoryum św. Antoniego, aby nabyć odpowiednią liczbę bydląt jucznych; następnie bez awantur i szybko szła reszta podróży. Nie potrzebowaliśmy nawet marudzić z chwytaniem po nocnym spoczynku zwierząt, co jest rzeczą niezwykłą, gdyż w regularnych warunkach zabiera ta czynność nieraz i pół dnia, jeżeli się bydlęcia wprost nie postrada.

Pierwszy przystanek przypadł nam w powstającej osadzie *Capim Branco,* gdzie spędziliśmy cały dzień, aby wypocząć i dać owej ludności sposobność przystąpienia do Sakramentów świętych. Po gościnnym posiłku dosiedliśmy wierzchowców i nie żałowaliśmy ostróg, bo spieszno nam było stanąć coprędzej pośród swoich. Na jakie dwa dni drogi od osady, która była celem naszej podróży, nowa czekała nas niespodzianka: ks. Balzola przybył na nasze spotkanie. Proszę wyobrazić sobie czułe powitanie po kilkuletniem niewidzeniu się. — Było to rano. Powietrze przesycone balsamiczną wonią kwiatów, niebo pyszne lazurowe, horyzont przezroczysty: tylko od zachodu rysowały się na nim szarą barwą góry, pośród których czekali nas bracia. W miłej pogawędce usiedliśmy nad brzegiem srebrzystego ruczaju, który tuż obok wił się szemrząc wesoło, i rozwinąwszy toboły, zaczęliśmy śniadanie. Było ono zresztą podobne do obiadu i wieczerzy, gdyż jedynym posiłkiem była nieodstępna *passoka,* pokarm przyrządzony z mieszaniny mąki z rośliny *mandioka,* mięsa i tłuszczu wieprzowego; wszystko to zbite w gęstą i twardą masę, przechowuje się długi czas i zaspokaja najdokuczliwszy głód. Ceni te przymioty passoki każdy podróżnik, i jest ona bezsprzecznie nieocenioną w podróżach, gdzie nieraz całymi tygodniami nie napotkasz chaty, gdziebyś mógł odnowić swoje zapasy; ma atoli tę jedną niedogodność, iż z powodu obfitości soli budzi straszne pragnienie. My siedzący nad brzegiem strumyka, nie potrzebowaliśmy się tego obawiać, to też każdy najadł się do syta, wiedząc jak długa podróż go czeka. Zaczerpnąwszy potem kryształowej wody, ugasiliśmy

pragnienie, napoiliśmy zwierzęta, i dalej w drogę. Przed nami wyprawił ks. Balzola przywiezionego z sobą Indyanina Michała, aby swoim rodakom Bororosom i naszym współbraciom oznajmił blizkie moje przybycie. I dnia 4. czerwca, gdy słońce kładło się za góry i lasy, gdy ostatnie echa dzwonu wzywającego na *Anioł Pański* gubiły się w ciemniejącej coraz



Kolonia Najsł. Serca (Matto Grosso). — Misyonarze i grupa Indyan przebywających w kolonii.

bardziej oddali, spostrzegliśmy na szczycie wzgórza Świętokrzyskiego w krwawych blaskach słonecznych kilka grup, w których ks. Balzola poznał swoich Indyan i dwu naszych braci. Musieli i oni nas dojrzeć, gdyż naraz ozwał się huk samopałów, karabinów, rewolwerów, rozległy się głośne okrzyki, wiwaty, i w szalonym pędzie wszystko rzuciło się w dół ku nam. Wiedzieli oni dobrze, naco te oznaki radości mogły się przydać; byli bowiem przekonani, iż przywożę z sobą zapasy bielizny, ubrania, kordelasów, narzędzi, zabawek dla dzieci i t. d.

Nam atoli nie na ich okrzyki serce żywiej zabiło: byliśmy nareszcie u celu naszej uciążliwej podróży; za kilka chwil mieliśmy się znaleźć w objęciach niestrudzonych naszych braci misyonarzy, a potem zacząć nareszcie w imię Boże pracę, do której wśród tylu trudów, poświęceń i niebezpieczeństw gotowaliśmy sobie drogę. Nic nie jest zdolne opisać uniesienia współbraci. Wyobraźże sobie, kochany Ojcze: przeszło od roku nie widzieli nikogo ze znajomych, żyli samotnie w bezgranicznym lesie, nic innego nie słyszeli, jak rozwlekłą i niedźwięczną mowę ludu o bardzo pierwotnem jeszcze ucywilizowaniu.

Przyjęcie... urzędowe. — Opłakany stan przybłyych z doliny Rio das Mortes. — Pomoc rządu. — 24 pary wołów transportują nasze prowizye przeznaczone dla Indyan.

Przy wejściu do osady czekali naczelnicy ze swemi gromadami ustawionemi w szyki, i sko-

rom się ukazał, salutowali po wojskowemu. Uganiali się dokoła, gromiąc wzrokiem i kułakami niezgrabniejszych, gdyż wiele im na tem zależało, aby mustra wypadła jak najlepiej, myśleli bowiem, iż mię do nich przychylniej usposobi i otworzy im przystęp do przywiezionych podarków. Najmniej wymagający spodziewał się nowej koszuli, a drudzy głośno mówili, iż nie mieli spodni, kordelasów i t. p.; pytali byciem. Przywoziłem bowiem podarki, które można było nabyć łatwo, bez trudu, a bardzo ich biedacy potrzebowali. Byli ogołoceni ze wszystkiego i, aby tak powiedzieć, zupełnie nadzy. Ten całkowity niedostatek trzeba przypisać w części i złośliwej ograżce (febrze), która tego roku tak okrutnie szalała we wszystkich wioskach i koczowiskach, położonych nad brzegami rzeki Rio das Mortes, toczącej swe mętne



Kolonia Najśł. Serca Jezusowego (Matto Grosso). — Wychowanice Sióstr Maryi Wspomożycielki.

się również o siekiery, kosy, sierpy. Wszystko to są przedmioty dla nich bardzo cenne, gdyż używają dotąd narzędzi bardzo pierwotnych z kamienia lub twardego drzewa. Wogóle widać u tych szczepów jakiś ślad postępu, ale ślad ten bardzo nieznaczny. W pracy nawet nie szukają zaspokojenia swych potrzeb, ani pożytecznego spędzenia czasu, i jeżeli się do niej skłonią, to tylko wówczas, gdy widocznie okaże im się pożyteczną lub niezbędną do utrzymania nędznego życia: wyzyskawszy ją zaś ile umieją, rzucają wszystko.

Wobec tego każdy łatwo zrozumie, dlaczego takie zainteresowanie wzbudziłem mojem przy- wody po bagniskach i moczarach o jakie cztery mile na północny-wschód od naszej osady. Ta to dżuma sprowadziła do misyi owych 90ciu Indyan (o których Ojcu pisałem w listopadzie), nagich, wycieńczonych, zdziesiątkowanych niemiłosiernie przez zabójczy klimat. Teraz stali przede mną jakby maskarada karnawałowa, bo inaczej nie można nazwać ich dziwacznej odzieży. Najbogatsi mieli jeszcze koszule, rozumie się atoli, iż ani jedna z nich nie była cała; inni za całą wyprawę mieli na sobie coś takiego, co kiedyś mogło być bluzą; ten był dumny ze swej kamizelki, którą wdział na gołe ciało, bez innego ubrania; tamten miał jakieś

wiszące łachmany, może spodnie. Wielu miało biodra przepasane kawałkiem worka lub skrawkiem fartucha kobiecego, a byli i tacy, co kapelusz chowali jedynie do galowych wystąpień, podczas gdy ich sąsiad dumnym był ze starego półkoszulka, który rok temu otrzymał był w darze od kogoś za swego pobytu w Kujabá, a z którym nie rozstawał się ani we dnie, ani w nocy. I ci oto uchodzą przed wszystkimi za bogaczy i pieszczoszków fortuny: gorzej z resztą.

Kogo nie stać nawet na kilka włókien do zawieszenia koło bioder, (co zresztą nie budzi wcale zazdrości, i przyczem wymyślne modystki paryskie w miesiącu musiałyby z głodu poumierać), ten smaruje sobie ciało cuchnącą materyą barwy miedzianej, jaką otrzymują z pewnej rośliny, zwanej *uruku*. Wyobraź sobie tedy, najdroższy Ojcze, jaka musi być ich nędza pod innymi względami.

Żal mi bardzo, iż nie będę obecnym, gdy nadejdą wozy prowiantowe: jakież wrażenie muszą one wywrzeć na tych nieszczęśliwych! — Szło tych wozów kilka z Kujabá; potrzeba było do zaprzęgu aż 24 pary wołów; wyjechały z miasta 28. maja, przybędą więc na miejsce dopiero kilka dni po moim odjeździe. Znaczne to były zapasy, jakie zdołałem zebrać w Europie i tutaj, zwłaszcza w Rio Janeiro; zawierały artykuły spożywcze, a przedewszystkiem ubrania. Serdeczne dzięki tu składam w imieniu tych biedaków wszystkim szczodrym dobrodziejom starego i nowego świata, którzy im tę przysługę wyrządzili. Rząd związkowy, który jest w stanie należycie ocenić doniosłe znaczenie działalności misyonarskiej, chciał się również w jakiś sposób do niej przyczynić, i w tym celu zwolnił nas od opłaty cła, a prócz tego zupełnie bezinteresownie oddał do naszej dyspozycyi wagony potrzebne do transportu aż do stacyi Korumbá. Taka łaskawa uprzejmość ze strony rządu doda nam więcej otuchy, dzięki której mężnie i skutecznie stawiać będziemy czoło licznym trudnościom, jakie na każdym kroku piętrzą się przed nami.

Mimo to wszystko koszta przewozu dochodzą pokaźnej sumy *trzech contos de reis* 1500 zlr. Takie olbrzymie wydatki, a do tego obcowanie z tymi ludźmi, pozbawionymi wszelkich szlachetniejszych uczuć, do których bez datku się nie przybliżaj, wytrącają nam nieraz pracę z rąk.

Lecz dobry Bóg, który sprawia, iż pośród cierni rozwijają się róże, osładza od czasu do czasu te okrutne udręczenia, błogosławiąc naszym zabiegom i pomagając w ulepszaniu bytu tych istot, którym za mieszkanie służą liście palmowe, a za posłanie urodzajna gleba, a i tę muszą jeszcze z wielkiem swojem niebezpieczeństwem wydzierać nieraz jadowitym wężom.

Egzamin. — Pilność w nauce religii.

Poddałem egzaminowi naszych małych Indyan, i z radością stwierdziłem u nich rzeczywisty postęp. Ci z wyższego oddziału czytają poprawnie, odpisują kaligraficznie jakibądź ustęp z swego elementarza, układają zdania dosyć rozumne i liczą do tysiąca; obecnie uczą się tabliczki mnożenia. Jestto doprawdy rzeczą zadziwiającą przy tak szczupłym czasie, jaki mogą obrócić na naukę. Nie jestto zarazem dobrą wróżbą dla ich przyszłości i cywilizacyi?

Małe Indyanki pod bezinteresownem i biegłem kierownictwem Córek Maryi Wspomożycielki piszą, czytają, przędą, szyją, wyszywają; ich robótki szydełkowe były atoli dotąd, że tak powiem, paraliżowane lichym bardzo gatunkiem przyrządów i materyału; teraz zaś mogą już czemś lepszem się zająć: nawet maszynę do szycia podarowała im jakaś dobrodziejka. Zapytasz może, Ojcze kochany, czy także większe dziewczyny zatrudniamy w misyi. Owszem: pod okiem tychże Sióstr zaprawiają się do pracy, do robót właściwych ich płci, i bywają pouczane jak spełniać obowiązki swego przyszłego stanu.

Szczególnie uderzył mnie ich postęp w nauce religii: na każde zapytanie mają odpowiedź gotową i trafną. Niejeden katolik w krajach o wysokiej cywilizacyi zawstydziłby się tutaj wobec tych tubylców. Takto Bóg objawia się maluczkim i pokornym!

26ciu neofitów. — Pobożność. — Śmiertelny cios zabobonowi.

Nader miłą niespodziankę zgotowali mi nasi współbracia, przygotowawszy do chrztu św. 26ciu neofitów, których miałem nieocenione szczęście ochrzcić. Właściwie już od niejakiego

czasu byli oni odpowiednio przygotowani, i z niecierpliwością wyglądali mego przybycia. Skoro zaś przestąpiłem próg zakładu, powitali mnie temi słowy: „*Padre, mugud poba imi.*" Ojcze, polej mnie wodą.



Kolonia Najśł. Serca (Matto Grosso). — Szkoła dla chłopców.

O jak pocieszającym był widok tych barbarzyńskich synów odwiecznych puszcz, korzących się wobec niepojętych a wierzonych tajemnic. Gdy woda chrztu św. spływała na ich kudłate głowy, musiał chyba zielenieć ze złości książę pogaństwa, szatan, na takie uzurpacye w krajach, gdzie on dotąd niepodzielnie panował. Czas nadszedł, żeby słodkie drzewo Krzyża rozproszyło ciemności tych puszcz, schronisk wszelkich okropności, jakich zdolne jest dzikie pogaństwo. — Ze wszystkich ceremonii przy chrzcie, najwięcej wrażenia robią na Indyanach egzorcyzmy i polanie wodą. W pierwszych upatrują wielkie podobieństwo do obrządku i guseł, jakie wyprawia ich *bari*, by oddalić złego ducha od polowania, ryb i niektórych potraw. Zato doskonale pouczeni byli o moralnem i mistycznem znaczeniu drugiej. Przy wyborze patronów dla nowoochrzczonych wybieraliśmy zazwyczaj imiona najznakomitszych naszych dobroziejów, którzy też chcieli być ojcami chrzestnymi, prosząc ks. Balzola i ks. Salvetto o zastępstwo.

Zeszłego marca, w czasie owej epidemii przyniesionej z nad Rio das Mortes, ochrzcił niestrudzony ks. Balzola 19[tu] Indyan w chwili konania. Po zgonie wyprawiono dla nich wspaniałe pogrzeby, chowając ich na nowym cmentarzu, położonym niedaleko naszego. Było to bardzo przyjemne ich rodakom, którzy widzieli, jak starannie obchodzono się ze zwłokami drogich im osób. To też pod wpływem tego wrażenia, jak i powagi naszych ceremonii pogrzebowych, zaprzestali swych kanibalskich *Bacururu*. Zwycięstwo to nie lada. Inne nie mniej doniosłe zwycięstwo odnieśliśmy



Kolonia Najśł. Serca (Matto Grosso). — Schronisko dla dziewcząt.

po tejże chorobie, a mianowicie, że w razie jakiejkolwiek choroby wszyscy obowiązali się udawać do nas po lekarstwa, a nie do swych *bari*. Litość brała na opowiadanie o zwyczajach, jakich w podobnych wypadkach trzymali się owi lekarze. Pomijam barbarzyński sposób znęcania

się nad biednym chorym, a to tylko wspominam, iż jeżeli się zdarzyło, że *bari* przepowiedział śmierć którego, a ten potem niespodzianie odzyskiwał zdrowie, wtedy *bari*, by na szwank nie narazić swej powagi, dusił nieszczęśliwca, zrzucając potem winę na złego *Bope*. Cały szczep, a nawet sam *bari* przyjął naszą propozycyę: Chwała Bogu!

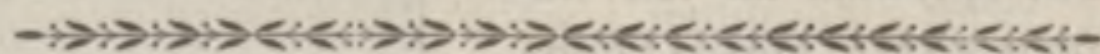


Kolonia Najsłodszego Serca (Matto Grosso). — Chaty centralne.

Imieniny ks. Malan. — Mali mowcy i trzy ich adresy.

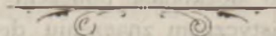
Dnia 13. czerwca odbyła się wielka uroczystość w kolonii z powodu święta mego niebieskiego Patrona, św. Antoniego Padewskiego. Gdy się znajduję w zakładzie w Kujabá, chociaż nie zdołałbym wzbronić licznych objawów przywiązania do mej osoby, mogę je co najmniej przewidzieć i odpowiednio się na nie przygotować; ale żeby tu w pustyni, przy takiej nędzy, przyszło komu na myśl urządzanie festynów z powodu imienin, tego nie byłbym się spodziewał. Aż tu przy końcu obiadu wstaje cała gromadka Indyan, kilku malców przybliża się do mego stołu i wygłasza toasty na moje zdrowie! Brakowało niestety szampana. Trzeba jednakże wyznać, iż wielce mnie wzruszyły te proste, lecz szczere słowa. — Bywają chwile w życiu misyonarza, gdy tenże zapomina o swych bólach i krzyżach, a jedynie hymn dziękczynny ulatuje z ust jego na widok bujnego plonu, jaki prace jego wydały.

(*Dokończenie nastąpi*).



UWAGA.

Zdarza się nierzadko, iż osoby pobierające Wiadomości Salezyańskie zmieniają miejsce zamieszkania, a zaniedbują lub zapominają nas o tem zawiadomić. Powstaje stąd niemały dla nas kłopot, ponieważ Wiadomości wysyłane pod zwykłym adresem, bywają nam następnie zwracane z suchym dopiskiem: „adresat wyjechał niewiadomo dokąd.“ Upraszamy przeto przeprowadzających się, by zechcieli nam w takich razach nadesłać w otwartej kopercie opaskę jednego z numerów naszego czasopisma, i wypisać na niej swój nowy adres. W ten sposób nie nastąpi żadne opóźnienie ani przerwa w dalszem regularnem doręczaniu im Wiadomości Salezyańskich.



WIADOMOŚCI POTOCZNE

EUROPA.

OŚWIĘCIM — Uroczystość św. Franciszka Salezego. — Zapowiedziana przez dzienniki i *Wiadomości* na dzień 4. lutego uroczystość św. Franciszka Salezego, Patrona stowarzyszenia *Pomocników Salezyańskich*, odbyła się w rzeczonym dniu i to nader wspaniale. Nawet niebo zdawało się jej sprzyjać. Temperatura obniżyła się nieznacznie, ale wystarczająco, by lekki mróz mógł ściąć w grudę nieznośne błoto; niebo wypogodziło się, wiatr ustał, zatrzymując cały dzień na miejscu lekkie opary, nie dozwalające słońcu operować całą siłą swych promieni. To też napływ wiernych był znaczny, większy niż za lat ubiegłych. Każdy kierował swe kroki najpierw do świątyni Wspomożycielki. Serce ściskało się niejednemu na widok tych gołych ścian, tych wspaniałych sklepień, świecących nagimi szkieletami łuków. Lecz gdy parusetny tłum zaległ olbrzymią nawatę, gdy z tych wszystkich piersi zgodny wyszedł śpiew przy dźwiękach kapeli na cześć Królowej Nieba, wnet pierzchły czarne myśli i modlitwa rzewna uleciała ku niebu.

Była to uroczystość prawie familijna, mająca na celu bodaj chwilowe przybliżenie Salezyanów do ich Pomocników, stanowiących dwa oddzielne odłamy jednej i tejsamej rodziny. Przy wspólnym ołtarzu złożyli jedni i drudzy swe datki: ci pracy i poświęcenia, tamci grosz szczery chociaż wdowi. Łączność tę uwydatnił w podniosłych słowach młody kaznodzieja ks. Dr. August Hlond. Opierając się na misyi życiowej św. Franciszka jako apostoła i obrońcy wiary w swoich czasach, określił misyę i obowiązki obu tych stowarzyszeń, mających jako prawdziwe przedmurze chrześcijaństwa kłaść się wpoprzek zgubnym prądom socyalizmu i obojętności religijnej.

Sumę z asystą celebrował Gwardyan OO. Reformatów z Kęt, przew. ks. Kapuśnik. Chór zakładowy wykonał mszę na trzy głosy, a liczne preludya kapeli uzupełniały przerwy wolne od śpiewu. Nabożeństwo zakończyło się uroczystem błogosławieństwem, w którem wzięło udział wielu przybyłych ks. ks. proboszczów. Po południu odśpiewano nieszpory, po których zaproszono uczestników na polskie przedstawienie, które odegrali nasi wychowankowie. Dramat pięcioaktowy osnuty był ściśle na tle przypowieści biblijnej: „*Syn marnotrawny.*" — Wyszedł on z pod płodnego pióra naszego współbrata ks. Jana Lemoyne, członka wyższej kapituły. Intermezza zapełniały występy orkiestry smyczkowej i kapeli. Dwie godziny miłej zabawy upłynęły jak jedna chwila, a gdy ostatni marsz zwiastował koniec uciechy i święta, wielu wyraziło swe ubolewanie z tego powodu, i żegnając się czule z nami, obiecywało powrócić najpóźniej w maju, aby tutaj uprzyjemnić sobie kilka znojnych chwil życia.

Z naszej strony wyrażamy serdeczne podziękowanie wszystkim przybyłym, zapraszając ich ponownie do nas na pierwszą niedzielę po 24tym maja, na *uroczystość* Królowej naszej *Maryi Wspomożycielki.* Do tego czasu może liczba przyjaciół naszych powiększy się, może nowe łaski Patronki tej świątyni przyciągną nowych czcicieli, może też Bóg dopomoże nam upiększyć ten Jego przybytek: a wtedy u stóp Maryi z wonnem kwieciem majowem złożymy nasze prośby o lepsze losy dla nas i dla dzieci naszych.

Jeszcze jedno słówko. Jak każdy z tego bladego opisu łatwo osądzi, *uroczystość była całkiem i w każdym szczególe wyłącznie religijna.* Mimo to ktoś, zapewne źle poinformowany, ustroił ją w szatę polityczną. Że przedstawienie nasze odbyło się całkiem przypadkowo i nieprzewidzianie równocześnie z wiecem polskim, *nie uzasadnia to bynajmniej twierdzenia, jakoby w tem było uprawianie jakiej polityki*, od której my trzymamy się zdala bądź z zasady przekazanej nam przez zakonodawcę, bądź z obowiązku wychowawczego. *Niech więc każdy wie, co o podobnych gadaninach sądzić.*

DASZAWA. — Nie upłynęły jeszcze trzy miesiące od radosnych uroczystości poświęcenia nowej kaplicy i obłóczyn nowicyuszów, a znowu oto zakład salezyański w Daszawie przystroił się odświętnie, aby obchodzić inną nader ważną i rzewną dla Zgromadzenia salezyańskiego a zarazem imponującą dla parafian daszawskich uroczystość. W kronikach salezyańskich błyszczeć ona będzie jakoby słup wytyczny, gdyż od tej uroczystości datuje się prawdziwy wewnętrzny rozwój dzieła salezyańskiego na ziemi polskiej. W uroczystość bowiem Trzech Króli jedynastu młodzieńców, po ukończeniu nowicyatu i po odprawieniu dziesięciodniowych ćwiczeń duchownych, klękało w stóp ołtarza, aby złożyć profesyę zakonną. Są to pierwsze kwiaty wypielęgnowane przez synów ks. Bosko na niwie polskiej, a przez Najśw. Wspomożycielkę Wiernych do mistycznego ogrodu Zgromadzenia salezyańskiego przesadzone.

Dzień śliczny, pogodny, i łagodna odwilż po ostrych noworocznych mrozach, ułatwiły liczny napływ ludności okolicznej, pragnącej przypatrzeć się tej rzadkiej a wzruszającej ceremonii profesyi zakonnej. — Nadeszła wreszcie upragniona chwila dla nowych profesów, którzy rozmodleni czekali u balustrady. O godzinie dziesiątej Przew. ks. Dr. Em. Manassero, prowincyał ks. ks. Salezyanów w Polsce, w asystencyi kilku współbraci, po odśpiewaniu hymnu *Veni Creator* i litanii Loretańskiej, zajął miejsce na krześle przed wielkim ołtarzem, a zwróciwszy się w imieniu Głównego Przełożonego Zgromadzenia do mających składać śluby, odezwał się ze wzruszeniem: „Synowie moi, czego żądacie?" Na te słowa wszystkim obecnym zamarł dech w piersiach; cisza, że aż w uszach zadzwoniło, zapanowała w ca-

łym kościele; jakiś święty, nieopisany dreszcz przebiegł po całej osobie. Nowi jednak profesowie zapanowali nad sobą i acz do głębi wzruszeni aktem, który za chwilę mieli spełnić, odpowiadali wszyscy razem miarowym i dobitnym głosem na stawiane im według ustaw pytania. Wzruszenie ogólne wzmogło się jeszcze więcej, gdy następnie każdy z osobna występował na środek prezbiteryum i klęknąwszy pomiędzy dwoma świadkami Salezyanami na przygotowanym klęczniku, wymawiał głośno formułę ślubu ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Niejedna łezka zakręciła się wtedy w oku obecnych, a przełożeni z rozrzewnieniem i błogiem uczuciem radości spoglądali na swych nowych konfratrów. Po wypowiedzeniu formuły ślubu nowy profes zbliżał się do ks. prowincyała, aby mu oddać hołd poddaństwa przez ucałowanie jego prawicy, poczem wpisywał się własnoręcznie do księgi Zgromadzenia.

Po skończeniu profesyi rozpoczęła się suma, celebrowana przez Przew. ks. Prowincyała. Podczas tejże Najprzew. ks. Prałat Jan Trzopiński, proboszcz w Kochawinie, wygłosił wzniosłe i pełne namaszczenia kazanie. W pięknych i trafnych słowach potrafił kaznodzieja zestawić uroczystość Trzech Króli z uroczystością profesyi zakonnej, wykazując, iż ci nowi solenizanci za przykładem owych Mędrców złożyli także swe dary, owszem przewyższyli tamtych, gdyż ofiarowali siebie samych Boskiemu Zbawcy.

Po sumie odśpiewano *Te Deum* na podziękowanie Bogu za szczęśliwe ukończenie rekolekcyi uwieńczonych ślubami zakonnymi, a ks. Prowincyał udzielił błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem. Wieczorem odprawiono uroczyste nieszpory.

Oby ci młodzi profesowie trwając wiernie w swem powołaniu, mogli stać się prawdziwym posiewem nowych pracowników we winnicy Pańskiej, iżby to młode Zgromadzenie rozwijało się coraz bardziej w duchu swego założyciela i mogło wiele zdziałać dla dobra Kościoła i społeczeństwa.



Przełożeni i nowicyusze Zakładu salezyańskiego w Daszawie.
(W środku Przew. X. Prałat Jan Trzopiński).

MISYA POLSKA w LONDYNIE. — Dnia 10. lutego, dla zabawienia naszych Pomocników miejscowych urządziliśmy zabawę z przedstawieniem amatorskiem i nieodłącznymi dla młodzieży londyńskiej tańcami, bez których dotychczas bawić się nie umieją, choć tak dobrze bez nich obejść się można. Licznie zebrana i ochoczo wyskakująca młodzież miała sposobność posłuchać pięknej muzyki na fortepianie pewnej tutejszej artystki, naszej rodaczki, a przytem wesoło się uśmiać słuchając monologu o dwóch typowych doróżkarzach warszawskich, którzy chcąc się wzajemnie ukarać, bili niemiłosiernie batami po grzbietach pasażerów, każdy swojego przeciwnika; jako też patrząc na komiczną rolę biednego żydka przymusowego wojaka, w udatnej komedyjce, którą z werwą odegrali dwaj Polacy z tutejszego *Towarzystwa Patryotycznego*. Komedyjka, napisana

przez jednego z grających, odznacza się głębszem uczuciem miłości ku wierze praojców i ukochanej, polskiej ojczyźnie. Prawdziwa to w naszych czasach, tak bałamutnych, pociecha, że są jeszcze serca zdrowo czujące, i to u młodych, obdarzonych do tego umysłem zdolnym pociągnąć za sobą i innych w kierunku tych zdrowych uczuć. Cóż dopiero, gdy się pomyśli, że takim przewodnikiem-autorem jest prosty rzemieślnik-stolarz. Prawdziwie też rozrzewniającą włożył w usta jednego ze swoich bohaterów w tej komedyjce (chłopka kosyniera) modlitwę, którą tenże, klęcząc przed Bożą Męką, śpiewa na nutę: *Boże, coś Polskę* i błaga w niej Boga o pomyślność dla swego chłopskiego oręża domowego (z czasów Kościuszki), t. j. wyprostowanej i wyostrzonej tęgo kosy. Widocznie utworem swoim rozrzewnił i podniósł w górę serca naszej publiczności, bo wślad za tem cała zabawa przybrała nastrój poważniejszy, choć wesołość całkiem nie uciekła.

Odnowienie nowego naszego lokalu zbliża się ku końcowi; mamy nadzieję podać wkrótce Szanownym Czytelnikom ,,Wiad. Salez." wizerunek tegoż lokalu, mieszczącego w sobie bardzo wygodną i okazałą kaplicę.

TURYN. — Wiadomości o misyonarzach, którzy wyjechali na Wschód. — Telegram J. E. Mgra. Teutoniusza Emanuela Vieira do Castro, biskupa w *Meliapor*, nadesłany na ręce X. Rua dnia 8. stycznia b. r., przyniósł nam wiadomość, że misyonarze którzy udali się do Indyi, przybyli szczęśliwie na miejsce przeznaczenia. Chwała zato Najwyższemu i naszej dobrej Matce Maryi Wspomożycielce!

Drugi oddział misyonarzy przeznaczonych do *Macao*, opuścił port genueński (jak już o tem wspomnieliśmy w ostatnim numerze) dnia 17. stycznia. Również dla nich nasz czcigodny X. Jenerał poprosił Ojca św. o błogosławieństwo, i otrzymał w odpowiedzi następujący telegram:

Rzym, 15. stycznia 1906, godz. 10,45 rano.

Przewielebny Ks. Rua,
Przełożony Salezyanów XX. Bosko
w Turynie.

Pierwszym misyonarzom salezyańskim udającym się do Chin, zasyła Ojciec św. apostolskie błogosławieństwo łącznie z życzeniem, by misya im powierzona wydała obfite owoce.

Kard. Merry del Val.



Widok nowego kościoła na Testaccio w Rzymie.

RZYM. — Dnia 23. sierpnia z. r. papież Pius X powierzył naszemu Zgromadzeniu staranie około wzniesienia nowego kościoła w dzielnicy Testaccio. Ksiądz Kardynał-Wikaryusz donosząc o tem X. Rua, wyraził się w tych słowach: « Salezyanie Ks. Bosko są przeznaczeni zdziałać w dzielnicy Testaccio to samo dobro, jakie obecnie czynią już na Castro Pretorio. » Miło nam, że możemy zamieścić podobiznę i plan nowego kościoła *Najśw. Panny Maryi Oswobodzicielki*, którego to imienia wzywano tu już od niepamiętnych czasów.

MEDYOLAN. — Cenne odwiedziny X. Kardynała-Arcybiskupa. — Wigilia Bożego Narodzenia była dniem nader radosnym dla naszych medyolańskich współbraci oraz ich wychowanków. Wczas rano zawitał do ich zakładu J. Em. X. Kardynał Andrzej Ferrari dla złożenia im osobiście swych życzeń i odprawienia wspólnej Mszy św. Po ewangelii dostojny gość miał do młodzieńców serdeczną przemowę, w której wyjaśniał naukę, jaką nasuwa żłóbek be-

tleemski, a nauką tą jest dobrowolne ubóstwo, oderwanie się od rzeczy ziemskich, pokora, posłuszeństwo, umartwienie i czystość, i zachęcał ich do praktykowania tych tak pięknych cnót, które tworzą prawdziwe szczęście człowieka na ziemi. W swej mowie Jego Eminencya wspomniał także o synach X. Bosko i wyraził im swoją radość z powodu, że stawszy się na wzór ich Założyciela dobrowolnie ubogimi z miłości ku Jezusowi Chrystusowi, *zawsze domagają się wszystkiego od swych Pomocników i Pomocnic dla przygotowania Boskiemu Dzieciątku godnego przybytku w sercach tylu ubogich chłopców, i wzniesienia Mu wspaniałych świątyń oraz domów, które są prawdziwemi ogniskami miłości Bożej.*

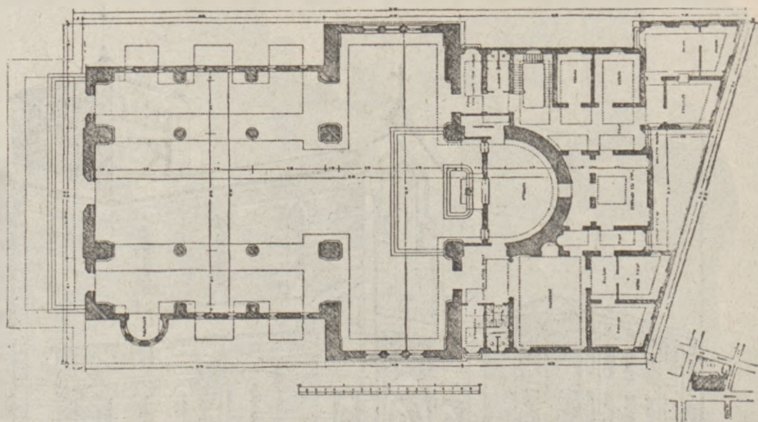
Komunia św. była, rzec można, generalną, ponieważ wszystkim zależało na tem, by otrzymać Chleb Anielski z rąk swego ukochanego Pasterza.

Po Mszy św. udał się Jego Eminencya do sali przyjęć, gdzie jeden z wychowanków w imieniu swych towarzyszów wyraził Mu najszczersze podziękowanie oraz życzenia z okazyi świąt, zapewniając, że wszyscy byliby spamiętali sobie tę cenną wizytę i skorzystali z rad otrzymanych. Chór zakładu wykonał piękny hymn okolicznościowy na cztery głosy; hymn ten tak się podobał Jego Eminencyi, że wyraził swe żywe uznanie kierownikowi, a wychowanków zachęcił do tem większego zamiłowania do nauk, jakich im się w zakładzie udziela. Podczas gdy kapela napełniała powietrze harmonijnymi dźwiękami, najdostojniejszy książę Kościoła poszedł zwiedzić przyległą wystawę prac wykonanych przez uczniów szkół zawodowych, i także tu wyraził swe wysokie zadowolenie z postępu, jaki zauważył w każdej gałęzi rzemiosła.

W końcu udał się Jego Eminencya przyjrzeć pracom około kościoła św. Augustyna. Ucieszył się bardzo, że zastał je posunięte dość daleko; podziwiał piękność stylu, trwałość budowy, obszerność naw; podobały Mu się również tak kolumny granitowe, biegnące wzdłuż naw i trybun, jako też wzór dekoracyi, wykonany na pierwszej arkadzie u wejścia. I chociaż kościół wykończony jest zaledwie do połowy, wyraził X. kardynał życzenie, by został jak najprędzej oddany do użytku publicznego, co niewątpliwie będzie wielce korzystnem (pod względem duchownym) dla licznych parafian, zamieszkujących ową dzielnicę miasta. Przy pożegnaniu ponowił Jego Eminencya wszystkim życzenia wesołych świąt i udzielił pasterskiego błogosławieństwa.

VITORIA (Hiszpania). — **Dom salezyański otworzony swego czasu w Villaverde de Pontones** dla t. zw. *synów Maryi*, przeniesiono podczas jesiennych wakacyi do Vitoria, pięknej mieściny w prowincyi biskajskiej. Oczekiwała ich tutaj pani Felicyta de Olave, dzielna Pomocnica salezyańska i założycielka nowego zakładu. Znalazłszy się w nowem mieszkaniu, uczucie podziwu ogarnęło uczniów na widok obszernych sal, oraz urządzenia całego gmachu. Również w refektarzu i w sypialniach znalazło się wszystko potrzebne do pokrzepienia się i wypoczynku po tak długiej przechadzce: drogę bowiem z Villaverde do Vitoria odbyli chłopcy pieszo. Wszędzie znać było skrzętną rękę jakoby prawdziwej matki. Niechaj Bóg wynagrodzi ową zacną i miłosierną panią!

LISBONA (Portugalia). — **Dzień 1. grudnia** przeznaczony był na przeniesienie szkół zawodowych imienia św. Józefa do nowego gmachu, o którym wspominaliśmy już kilkakrotnie. Z twarzy młodzieńców, oglądających z podziwem czyste sypialnie oraz wysokie i obszerne krużganki, przebijała radość nie do opisania. Nowy gmach wystawiono podług wszelkich wymogów hygieny na pięknem wzgórzu,



Plan nowego kościoła na Testaccio w Rzymie.

skąd się otwiera cudny widok na poetyczny i głęboki port lisboński. Jestto miejsce nader rozkoszne i zdrowe. Zakład nie jest jeszcze całkowicie wykończony, ukończono bowiem zaledwie jedną część, która atoli wystarcza do pomieszczenia w sobie owych ośmdziesięciu uczniów, którzy zajmowali dom wynajęty, i dania przytułku przynajmniej czterdziestu innym. Dalsza budowa będzie prowadzona w miarę napływania ofiar od Pomocników lisbońskich, ofiar, które dotąd stale dopisały.

Obecnie czynią się gorączkowe przygotowania do inauguracyi części już ukończonej, która sama przez się stanowi wspaniały pomnik miłosierdzia owych szczodrych Pomocników na korzyść młodzieży ubogiej i opuszczonej.

AMERYKA.

S. SALVADOR (Ameryka środkowa). — **Kaplice świąteczne** otworzone w rzeczypospolitej *S. Salvador*, spełniają swe zadanie nader chwalebnie i są w stanie kwitnącym.

Do kaplicy w mieście **S. Tecla** uczęszcza co niedzielę przeszło 160ciu chłopców. Pilność ich jest naprawdę godną pochwały. W każdy pierwszy piątek miesiąca prawie wszyscy przystępują do Sakra-

mentów św. dla spełnienia ćwiczenia t. zw. *dobrej śmierci;* taksamo dzieje się w główniejsze uroczystości. Panie patronki tejże kaplicy dostarczają co święto dostateczną ilość owocu, a co trzy miesiące odpowiednie fanty na loteryę. Fanty te są bardzo pożyteczne dla chłopców, ponieważ składają się w większej części z obuwia, bielizny, ubrań i t. d. Wychowankowie zaś naszego miejscowego kolegium dają od czasu do czasu przedstawienia amatorskie wyłącznie dla oratoryanów.

Także kaplica w **S. Salvador** rokuje jak najlepsze nadzieje: przeszło dwustu chłopców przychodzi w każde święto na nabożeństwo i zabawy. Również tutaj zoczęto co miesiąc praktykować ćwiczenie *dobrej śmierci* z nader błogim wynikiem. Dla starszych młodzieńców założono kółko zwane *Sociedad D. Bosco*, które jako oznakę ma medal z wizerunkiem naszego dobrego Ojca i kokardę o barwach narodowych. Wielu członków nigdy nie składa swej oznaki, stąd nierzadko bądź na ulicach, bądź w składach i po warsztatach można spotkać wyrostków z przypiętą do kurty wspomnianą oznaką, czem coraz bardziej dają poznać imię naszego X. Bosko.

Co niedzielę po Mszy św., która się odprawia o wpół do dziewiątej rano, starsi chłopcy pobierają lekcye śpiewu kościelnego; są to dopiero początki, mimo to spodziewamy się, iż z czasem wiele będzie można w ten sposób osiągnąć. Obecnie umieją już *Missam Angelorum*. Po południu przez trzy kwadranse odbywa się nauka katechizmu na zasadzie pytań i odpowiedzi, poczem następuje uzupełnienie tychże przez dobitne wyjaśnienie.

Takie oto pocieszające wieści nadesłano nam z rzeczypospolitej S. Salvadorskiej o istniejących tamże kaplicach świątecznych.

DO NASZEJ KRÓLOWEJ.

Można śpiewać tak, jak: „Witaj Królowo, Matko litości" albo — „Zdrowaś Maryo."

Panno Maryo! Bogarodzico!
Królowo nieba, Święta Dziewico!
Orędowniczko polskiej korony,
Błaga Cię polski naród strapiony!

Błaga Cię ojciec, matka ze łzami,
Byś się wstawiła do Boga z nami,
By Twoje dzieci były wolnemi
W Twojej Koronie, na polskiej ziemi.

Racz nam odpuścić te nasze grzechy,
Bośmy nie mieli dotąd pociechy.
Pokuta długa! pokuta sroga!
Królowo Polski, wstaw się do Boga!

Chociaż niektórzy są tak wyrodni,
Że Twojej łaski dotąd niegodni,
Wybacz im Matko! Ciebie błagamy,
Bo może za nich ten krzyż dźwigamy.

Przecież Ci byli i są Ci wierni
Starzy i młodzi, nawet pancerni:
Z Tobą w sztandarach i wszystkich zbrojach
Walczyli mężnie w największych bojach.

Pokrzepiaj Matko! tę młodzież mężną,
Drobną, lecz duchem zawsze potężną,
Co broni wiary, mowy, ojczyzny,
Nie uważając na krzywdy, blizny.

Spojrzyj na synów krzywdy cierpiących,
Z głodu i nędzy srodze ginących,
I na tych braci z Polski skradzionych,
Za wiarę, mowę w Sybir rzuconych!

Pocieszaj Matko! polskich tułaczy
Co płaczą, tęsknią i są w rozpaczy:
Co żyją, proszą gdzieś na obczyźnie,
By mogli spocząć w swojej Ojczyźnie.

Byłaś kochaną w czasach Czarneckich,
Koronowaną w domu Kordeckich.
Jesteś nam drogą na Jasnej Górze,
Gdzie naród polski chwali Cię w chórze.

Więc też do Ciebie się uciekamy,
Cześć Twą i Polski zawsze śpiewamy:
Królowo zacnej polskiej korony,
Błogosław polski naród strapiony!

J. M. Zimocki.

Paryż, dnia 2. lutego 1906.



Potęga Maryi Wspomożycielki.

Stokrotne podziękowanie publiczne składamy Najśw. Matce Bożej Wspomożycielce Wiernych i Najsłodszemu Sercu Jezusa za uratowanie nam z ciężkiej bardzo choroby (szkarlatyny) córeczki naszej 10letniej Marychny.

Gdy wszystkie zabiegi nasze i najtroskliwsze starania lekarzy żadnego skutku nie odnosiły, a dziecko po kilkomiesięcznej chorobie, wycieńczone zupełnie, z puchnącemi już nóżkami — każdej chwili (podług zdania lekarzy) wydać miało ostatnie tchnienie, udaliśmy się z całą wiarą i ufnością do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych i razem z nowenną, odprawianą przed cudownym Jej obrazem w Oświęcimiu, i my odmawialiśmy nowennę w domu z gorącą prośbą o uzdrowienie nam dziecka ukochanego. I nie zawiodła nas głęboka ufność w potęgę Maryi, dziecku bowiem od czasu owej nowenny i po przyjęciu ostatnich Sakramentów św. zwolna, ale widocznie zdrowie i siły powracać zaczęły. Powodowani danem przyrzeczeniem i najgłębszą wdzięcznością ku Najśw. Matce Wspomożycielce Wiernych i ku Boskiemu Sercu Jezusa za tę wielką łaskę doznaną, podajemy to do wiadomości publicznej, polecając córeczkę naszą i zdrowie jej zupełne dalszej opiece Najświętszej Panny i pobożnym modłom czytelników.

Poznań, dnia 2. stycznia 1906 r.

ADAMOSTWO WOLIŃSCY.

***

Będąc na wakacyach, zachorowała mi matka tak ciężko, że rozmaite lekarstwa niewiele jej się przydały. Przypomniało mi się wtedy o tej niebieskiej Lekarce, która nikogo nie opuszcza, i uczyniłem ślub, że jeśli matka wyzdrowieje, ogłoszę to publicznie. Istotnie nie omyliłem się w swych rachubach, bo zaledwie powróciłem z wakacyi, dostaję list, iż matka całkiem zdrowa.

Za tę wielką łaskę niech będzie Najśw. Maryi Pannie Wsp. Wiernych, Królowej Polski, cześć i chwała po wszystkie wieki! Niech imię Jej zabrzmi jak najprędzej wdzięcznem echem także tam, gdzie dzwony nie wzywały jeszcze ludzi do modlitwy!

Kołomyja (Galicya).

FRANCISZEK JÓZEF TRYSZCZYŁA.

***

Z całego serca dziękuję Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych za odebrane łaski, a głównie za ulgę w ciężkiej boleści, jakiej za Jej przyczyną doznałam. Proszę o umieszczenie tego we *Wiadomościach Salezyańskich.*

Oleśka (Górny Śląsk).

JADWIGA MIKOSZ.

***

Spełniając ślub uczyniony Najsł. Sercu Pana Jezusa i Najśw. Pannie Maryi Wsp. Wiernych, składamy publiczne podziękowanie za doznane łaski w ostatnich pięciu latach.

Dobromil (Galicya), 17-12-1905.

ANTONI I ANIELA KOŚCIŃSCY.

***

Wywięzując się z uczynionej obietnicy, z szczerej wdzięczności składam publiczne dzięki Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych za odebrane łaski, które przez odprawienie nowenny u Niej wyprosiłam. Posyłam 5 marek na Mszę św. dziękczynną, polecając się nadal opiece Pana Jezusa i Matki Boskiej.

Wielkie Strzelce (W. Ks. Poznańskie), 6-1-1906.

ZOFIA GŁOWACKA.

*
* *

Najwyższe dzięki składamy Boskiemu Sercu Pana Jezusa i Matce Jego Najśw. Wspomożycielce za pomyślny wynik egzaminu, który złożyliśmy w miesiącu marcu 1905 r.

Sokołów (Galicya).

JAN i PAULINA PIĘKOSIOWIE.

Publiczne podziękowanie.

Przejęta wdzięcznością ku naszej litościwej Matce Wspomożycielce Wiernych, składam Jej serdeczne podziękowanie za doznaną łaskę uzdrowienia mojej dwuletniej córeczki.

Kiedy lekarz nie miał już żadnej nadziei, i wydał niejako wyrok śmierci nie przepisawszy żadnego lekarstwa, powróciłam w smutku pogrążona z bezwładną córką do domu, alem nie rozpaczała. Ożywiona owszem jakąś błogą nadzieją, udałam się z prośbą do naszej Niebieskiej Lekarki, obiecując złożyć ofiarę na Jej kościół w Oświęcimiu (z czego się obecnie wiernie uiszczam), i nie zawiodłam się. Niemal w tej samej chwili córeczka zasnęła, a gdy się później ocuciła, była bardzo wesołą, zaś w kilka dni potem zupełnie wyzdrowiała.

Kopanina (Górny Śląsk).

E. i M. REMIORZ.

*
* *

Żona moja Marya była dwa razy na śmierć dysponowana, a ja pół roku leżałem chory na reumatyzm i miałem bezwładną lewą rękę. W tem ciężkiem doświadczeniu udaliśmy się do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych i nie zawiedliśmy się. Dobrotliwa Lekarka chorych uzdrowiła nas najzupełniej.

Przejęci wdzięcznością, przesyłamy sześć marek na odprawienie mszy św. dziękczynnej i prosimy o podanie tych kilku słów do *Wiadomości Salezyańskich*.

Kórnik (Wielkie Księstwo Poznańskie), 5-1-1906.

JAN i MARYA URBANOWICZOWIE.

*
* *

Cierpienie moje mogło być usunięte tylko przez operacyę, a że trudno mi było na nią się zdecydować, udałam się z prośbą do Najświętszej Matki Wspomożycielki Wiernych, prosząc o uleczenie, i postanowiłam ogłosić doznaną łaskę w *Wiadomościach Salezyańskich*, jak również przesłać ofiarę. Zostawszy wysłuchaną, spełniam przyrzeczenie i składam dobrotliwej Maryi Wspomożycielce gorące podziękowanie za przychylenie się do mej prośby.

Samostrzel (Wielkie Ks. Poznańskie), 8-1-1906.

Dr. E. KARWOWSKA.

*
* *

Podpisana dziękuje M. B. Wspomożeniu Wiernych za dwie bardzo ważne łaski i w dowód wdzięczności przysyła 20 marek na zakład oświęcimski, a 10 na odprawienie Mszy św. dziękczynnej.

Goręczyn (Prusy Zachodnie).

MICHALINA DERĘGOWSKA.

Cześć Maryi Wspomożycielce!

Nasz synek czteroletni chorował na dyfteryę. Lekarz zastrzyknął mu jakiś płyn w plecy, co przyniosło choremu ulgę, ale nie na długo. Niebawem pogorszyło mu się, a gorączka wzmogła się tak dalece, żeśmy się już obawiali katastrofy. Żona jednak nie straciła nadziei, lecz ofiarowała chłopca Najśw. Wspomożycielce, ślubując, że jeżeli tenże wyzdrowieje, pośle 20 koron ofiary. Matka Najświętsza nie odmówiła nam swej łaski. W istocie po zastosowaniu przez cyrulika środka wręcz odmiennego od tego, jakiego użył lekarz, polepszyło się choremu widocznie, a w krótkim czasie przyszedł zupełnie do zdrowia.

Przejęci wdzięcznością za wyświadczone nam dobrodziejstwo, składamy Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce najserdeczniejsze podziękowanie, i posyłamy na razie połowę przyobiecanej ofiary.

Bołszowce (Galicya), 2-1-1902.

JÓZEF GRADKOWSKI.

*
* *

Dziękuję Boskiemu Sercu Jezusowemu i Przeczystej Dziewicy, Maryi Wspomożycielce, za wyzdrowienie mojej córki. Chorowała ona trzy lata na katar płucowy. Leczyli ją różni doktorzy, ale nic to nie pomagało. W tem utrapieniu uciekłam się do Najsł. Serca Jezusowego, prosząc o zdrowie dla mego ukochanego dziecka, i wnet za przyczyną zawsze łaskawej i litościwej Wspomożycielki zostałam wysłuchana. Dzisiaj moja córka cieszy się najlepszem zdrowiem. Cześć zato i chwała Maryi Wspomożycielce!

Jutrosin (Wielkie Księstwo Poznańskie).

FRANCISZKA SZPONIK.

* * *

Chcąc poprawić mój byt materyalny, przeniosłem się na inną posadę. Tu jednak zaczęto mię niesłusznie prześladować i zagrożono wysłaniem mnie na inne, gorsze miejsce. Cierpiałem z tego powodu strasznie, tembardziej że cierpiałem niesprawiedliwie. W ostatniej chwili, kiedy moi wrogowie użyli wszelkich możliwych środków i podstępów, aby mnie zgnieść i zniszczyć zupełnie, uciekłem się pod opiekę Najśw. Maryi Panny, od której wszystkie sprawiedliwe wyroki pochodzą — i nie zawiodłem się: do dziś bowiem pozostaję na dawnem stanowisku.

Z wdzięczności posyłam pięć marek na mszę św. i proszę o dalsze potrzebne mi łaski.

Podzameczek (Galicya), 3-1-1906.

August Hojak
kierownik szkoły.

* * *

Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Najśw. Wspomożycielce Wiernych składam publiczne dzięki za doznanie pewnej łaski, która bardzo mi była potrzebną.

Delano (Stany Zjednoczone), 12-12-1905.

M. C.

Uzdrowienie chorych, módl się za nami!

Zeszłego roku w styczniu zachorowała nam ciężko córka na słabość płuc. Pomimo najskuteczniejszych zabiegów trzech lekarzy, słabość wzmagała się ciągle i, jak nas ordynaryusz powiadomił, groziła katastrofa. Zrozpaczeni, nie liczyliśmy już na pomoc ludzką, tylko postanowiliśmy szukać ratunku w łasce Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych.

Ofiarowawszy przeto chore dziecko opiece tejże Matki najmiłościwszej, która, jak nas doświadczenie nauczyło, nikogo w potrzebie nie opuszcza, udaliśmy się z prośbą do Oratoryum w Turynie o odprawienie nowenny i mszy św. przed cudownym obrazem tej Dobrodziejki ludzkości na intencyę odwrócenia od nas nieszczęścia utraty tego dziecka. O rozpoczęciu nowenny (w celu wzięcia w niej udziału) zawiadomiono nas na czas, i o dziwo! — z rozpoczęciem tejże nastąpiło widoczne polepszenie, a postępując dość raźno naprzód, w niedługim stosunkowo czasie słabość ustąpiła zupełnie do tego stopnia, iż z początkiem roku szkolnego mogliśmy to nasze dziecko oddać dla dalszego kształcenia do konwiktu Sióstr Urszulanek w Kołomyi.

Przeświadczeni, że wyzdrowienie naszej córki mamy do zawdzięczenia nie ludzkiej, lecz nadziemskiej pomocy, składamy najłaskawszej Wspomożycielce publiczne podziękowanie za wyświadczone nam dobrodziejstwo i prosimy o ogłoszenie we *Wiadomościach Salezyańskich*.

Pistyń (Galicya), dnia 12. stycznia r. 1906.

Adam i Eugenia Womelowie.

* * *

Boskiemu Sercu Jezusowemu i Matce Najśw. Wpomożycielce składam serdeczne podziękowanie za uzdrowienie mnie i mojej córki z ciężkiej i niebezpiecznej choroby. Córka moja już od dziewięciu lat była zreumatyzmowana, a ponieważ żadne lekarstwo jej nie pomagało, z całą ufnością i szczerem sercem udałam się do Najsł. Serca Pana Jezusa, i wnet za przyczyną Maryi Wspomożycielki polepszyło się chorej; obecnie jest ona zupełnie zdrowa.

Przed niedawnym zaś czasem ja zachorowałam dość niebezpiecznie. Przywołany lekarz wątpił, abym mogła wyzdrowieć; uciekłam się przeto o przyczynę do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia i uczyniłam ślub, że jeżeli się podźwignę z łoża boleści, ogłoszę publiczne podziękowanie w *Wiadomościach Salezyańskich*, oraz poślę ofiarę na odprawienie dziękczynnej mszy św. przed cudownym obrazem Maryi Wspomożycielki.

Zostawszy wysłuchaną prawie natychmiast, uiszczam się z mego przyrzeczenia i załączam 10 marek na odprawienie rzeczonej mszy św.

Wielka Łęka (W. Ks. Poznańskie), 16-1-1906.

W. F. T.

* * *

Ja niżej podpisany prosiłem Matkę Boską Wspomożycielkę o pewną łaskę, której nie wymieniam, i ślubowałem złożyć ofiarę, jeżeli prośba moja wysłuchaną zostanie. Ku wielkiej mojej radości dobrotliwa Królowa Niebios przychyliła się do mej prośby i udzieliła mi to, o co Ją prosiłem.

Składam Jej zatem na tem miejscu nieskończone dzięki i załączam przyrzeczoną ofiarę.

Raba niżnia (Galicya), dnia 20. stycznia r. 1906.

Jan Cieluszak.

* * *

Z głębi serca składam gorącą podziękę Najśw. Panience za liczne łaski, które otrzymałam za Jej przyczyną, złożywszy obietnicę ogłoszenia podziękowania w *Wiadomościach Salezyańskich*. Błagam zarazem tę najlepszą Matkę naszą o ra-

tunek w teraźniejszych troskach i utrapieniach, jakiemi podobało się Panu mnie nawiedzić. O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Maryo, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!

Krasnostawce (Galicya), dnia 30. stycznia r. 1906.

F. Prokopowiczówna.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Jan Kaczmarek, Środa (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); M. Kochankowa, Chrzanów (*Galicya*); M. Czyżowicz, Łużek dolny (*Galicya*); Paweł Skrobka, Tymowice (*Górny Śląsk*); Helena Persa, Grybów (*Galicya*); Władysław Lompa, Śrem (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); L. M. Kleczyńska, Jeleśnia (*Galicya*); Marya Broll, Załenże (*Górny Śląsk*); N. Dorożyńska, Lwów (*Galicya*); Mikołaj Koziczak, Winiary (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Kostancya Greffner, Kopytów (*Galicya*); Józef Frassek i Gertruda Wollf, Szarlej (*Górny Śląsk*); Fr. Żółciak, Skomielna czarna (*Galicya*); Antoni Naparty, Mülheim (*Nadrenia*); Franciszek i Katarzyna Zięba, Zarzecze (*Galicya*); Zofia Sikorska, Rzepiennik biskupi (*Galicya*); A. G., Swarzędz (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); S. M., Śródka (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Zofia Domino, Budziwój (*Galicya*); N. Andrzejewski, Krobia (*Wielkie Kięstwo Poznańskie*); Marya Dominikowska, Kraków (*Galicya*); Stanisława Hajmanowicz, Michałków (*Galicya*); Jan Foks, Katowice (*Górny Śląsk*); Marya Kręczyńska, Nuszcze (*Galicya*); Anna Zych, Lasek (*Galicya*); Kazimierz Stępień z Moszczenicy (*Galicya*), za wyratowanie z bardzo ciężkiej, dwa lata trwającej choroby; Bogumiła Donimirska ze Sztumu (*Prusy Zachodnie*), za utrzymanie wnuczki przy zdrowiu i życiu; E. M. z Ciochowic (*Górny Śląsk*), za polepszenie na zdrowiu zaraz po rozpoczęciu nowenny; Jan i Marya Buda z Kozłowa (*Wielkie Księstwo Poznańskie*), za szczęsliwe przebycie choroby; P. F. z Poznania nadsyła 20 marek w dowód wdzięczności za wysłuchanie prośby i prosi Najśw. Maryę Pannę Wspomożycielkę o nową łaskę.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*



Jak ks. Bosko zakończył dysputę religijną.

Było to w czasie popołudniowej rekreacyi na dziedzińcu Oratoryum św. Franciszka Salezego w Turynie. Ks. Bosko przechadzał się otoczony zbitem kołem swoich chłopców, gdy tymczasem reszta bawiła się w najlepsze. Wtem nadbiegł odźwierny, wzywając ks. Bosko do jakiegoś przybyłego kapłana.

— Nie podał nazwiska?

— Karol Palazzolo.

— Bardzo mnie to cieszy; czekam tak dawno na niego. Wybaczcie chłopcy! To mówiąc, oddalił się w stronę bramy wchodowej, lecz nim doszedł, nieznajomy stał już na progu. Nastąpiło czułe powitanie, potem jakiś czas rozmawiali z sobą chodząc pod portykami, a w końcu pożegnali się. Ledwie gość znikł za bramą, zwyciężyła nasza ciekawość: rzuciliśmy się na naszego ojca, obsypując go pytaniami. Zaspokoił nas w części, opowiadając z swego życia studenckiego w Chieri o swej przyjaźni z Palazzolim, który wówczas był lokajem u pewnych państwa, jak on mu udzielał pierwszych lekcyi łaciny i gramatyki, jak go przygotował do egzaminu, i tym sposobem utorował mu drogę do kapłaństwa. W końcu dodał co następuje.

— Miałem raz z tym księdzem ciekawą awanturę: będzie temu lat trzy. Wybieraliśmy się obaj do Lanzo do kościoła św. Ignacego na rekollekcye. Ponieważ kolei tamdotąd wówczas jeszcze nie było, a jeżdżenie powozem sprawia mi mękę, namówiłem ks. Palazzolo i poszliśmy pieszo. Tuż za rogatkami Turynu wyszedł z bocznej uliczki jakiś mularz, i zdawał się zdążać w tymsamym kierunku co i my. Że to trzem zawsze weselej, zagadnąłem owego człowieka, by go wciągnąć do towarzystwa. Nie był i on od tego, i wnet zawiązała się między nami ożywiona rozmowa. Było to w owych czasach, kiedy umysły były jeszcze wzburzone niedawną walką o niepodległość Włoch i wystąpieniem sekty Waldensów. Każdy chciał wtedy politykować i bawić się w kaznodzieję i teologa. Nasz mularz był prawdziwem

dzieckiem swego czasu. Widząc się w towarzystwie aż dwu księży, tych osławionych z głupoty i ograniczenia księży, tyranizujących nieoświecone masy własnymi wymysłami, zapalił się gorliwością apostolską; a chociaż łokcie jego ciekawie patrzyły przez dziurawy kaftan na świat boży, zaczął z ogniem w oczach i miną patetyczną wykładać swe teorye. Na jego stan i wykształcenie szło mu to dość gładko, ale brednie jakie plótł, przechodziły wprost ludzkie pojęcie.

Ja słuchałem obojętnie, oczekując cierpliwie końca owej głupiej gadaniny; tymczasem mój towarzysz, snać w gorącej wodzie kąpany, nie mógł tego znieść i nuże w dysputę z mularzem. Lecz nie szło mu to łatwo, gdyż chłop był, jakby się to powiedziało, siekierą ociosany. Co ksiądz wyciągnął jaki poważniejszy argument, mularz przestawał rozumować i krzyczał na całe gardło, w czem mu naturalnie kapłan musiał ustępować pierwszeństwa. Przez długi czas powtarzali w kółko ksiądz swoje, on swoje. Nareszcie sprzykrzyło się to kapłanowi; korzystając przeto z ciemnoty przeciwnika, jął mu dopiekać dowcipami i żartami, co znów robotnika doprowadziło do wściekłości. Sprzeczka zaostrzała się z każdą chwilą, tak że obawiając się jakich złych następstw, wmieszałem się między nich. Przysunąwszy się do mojego przyjaciela, szeptnąłem mu do ucha: ,,Bądźże choć ty rozsądniejszym" — a potem dodałem głośno: Nie koniecznie najlepiej wziąłeś się ks. Dobrodziej do tego człowieka. Cóż on temu winien, że go tak nauczono? Czego się skorupa za młodu napije, tem na starość trąci. Gdyby był znalazł ludzi, zdolnych powiedzieć mu prawdę, inaczejby się na te rzeczy zapatrywał.

— A czyż mu jej teraz nie mówię?

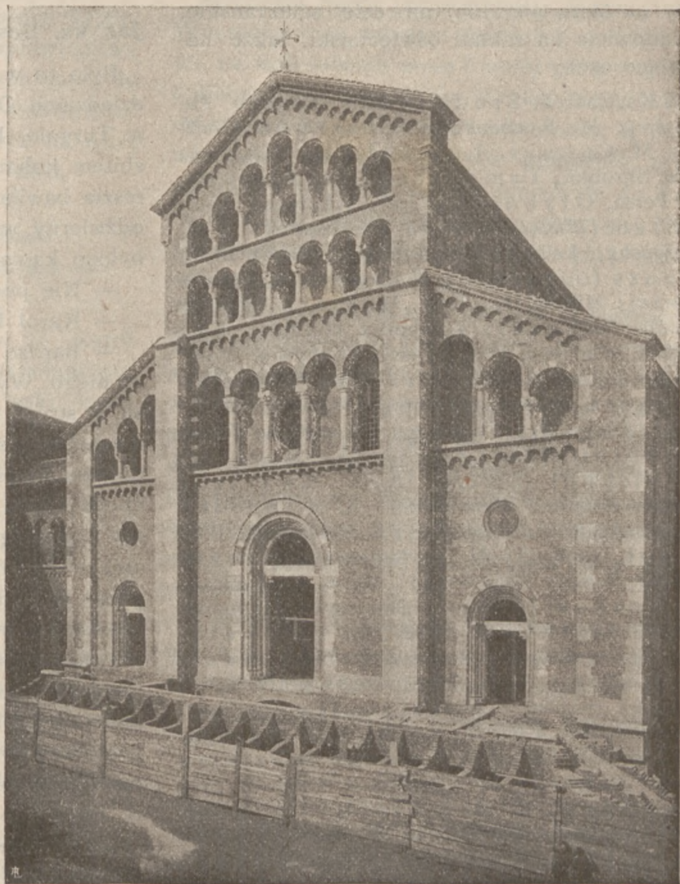
—A ja o nią nie proszę — wrzasnął mularz: i już zanosiło się na większą jeszcze burzę. Widząc, iż tu racye na nic, chwyciłem się ostatecznego środka. Mówię tedy do ks. Palazzolo: Bądź ks. łaskaw przyspieszyć kroku; ja sobie prędzej może z tym poczciwym człowiekiem dam radę.

Aż sapał biedny księżyna, ale chcąc nie chcąc musiał usłuchać, gdyż natychmiast zwolniłem kroku, zatrzymując ze sobą mularza. Teraz zabrałem się z wielką cierpliwością do niego. Pozwoliłem mu się wysapać, wylać cały zapas jadu, jaki zapewne już od dawna chował na nienawistnych księży, i który dostał się bez podziału także biednemu ks. Palazzolo; a gdy ochłonął nieco i zdawało mi się, iż musiał już nabrać do mnie zaufania, zacząłem powoli i roztropnie zbijać najprzód najjaskrawsze błędy jego teoryi, potem coraz to inne, aż w końcu sam uznał je wszystkie za niedorzeczne, a wychowanie swoje za całkiem spaczone. Nie mógł mi się biedak nadziękować, żem mu nareszcie oczy otworzył. Gdy go tak dostatecznie zmiękczyłem i pewien już byłem swego, zapytałem naraz obcesowo:

— Może już sporo czasu upłynęło, odkąd pan ostatni raz byłeś u spowiedzi?

— Księże kochany! Bóg jeden to pamięta!

— A nużbyśmy to załatwili teraz?



Kościół św. Augustyna w Medyolanie. *(Zob. str. 71).*

Godzina była południowa, słońce przypiekało mocno. Pusto było dokoła; na polach cisza grobowa: żywej duszy jak okiem sięgnąć nie dojrzałeś, prócz ks. Palazzolo, który znacznie nas był wyprzedził, bo szedł przyspieszonym krokiem i widocznie jeszcze nie ostygł, wymachiwał bowiem rękami, przystając nagle od czasu do czasu niby dla nadania powagi swym argumentom.

Mularz nie umiał się oprzeć. Wskazałem mu kilka gęstych krzaków, między którymi wznosiła się stara grusza. W jej cieniu ukląkł, ja zaś siadłem na kamieniu, i zaczęła się spowiedź długa, rzewna, pełna jęków i łez.

Tymczasem ksiądz Palazzolo ochłonął i przyszło mu nareszcie na myśl, że idziemy za nim. Obejrzał się, i niemało się zadziwił, nie widząc nikogo na drodze. Nagle straszna myśl przeszła mu przez głowę: pewnie ów człowiek morduje gdzie ks. Bosko. Zadrgały przed nim kolana, serce żywiej zabiło. Bez chwili namysłu puścił się z powrotem, ostro sobie wyrzucając takie zapamiętanie się. Biegnie, zbacza w krzaki—i staje jak wryty: ów człowiek klęczy zalany łzami u stóp kapłana, który sparłszy poufale głowę na jego ramieniu, słucha jego spowiedzi.

Usunął się na bok, by nie przerywać ważności chwili.

Po skończeniu spowiedzi znaleźli się znów wszyscy trzej na gościńcu. Ks. Palazzolo, jako człek żywego temperamentu, zaraz jął mularza przepraszać za uszczypliwe słówka; ten zaś swoją drogą nie chciał wiedzieć o niczem, i sam pokornie prosił kapłana o wybaczenie mu grubijaństw. W miłej rozmowie przebiegli resztę drogi aż do wioski Caselle, gdzie mularz wezwany był do restauracyi kościoła. Pożegnawszy się z nim, poszliśmy naszą drogą, dziękując Bogu za jedną pozyskaną duszę.

Widzicie, moi drodzy, — kończył ks. Bosko swoje opowiadanie — jakto łatwo podbić serce dobrocią; tymczasem bez niej nawet Salomonowa mądrość nieby nie wskórała.

Dla domu Bożego.

Pod tym nagłówkiem przytacza hiszpański „Boletin Salesiano" spis owych 25-ciu kościołów, jakie obecnie na obu półkulach budują Salezyanie bez żadnej publicznej zapomogi, ufni jedynie w Opatrzność Boską i w ofiarność swych Pomocników. Co za sumy pochłania codziennie takie przedsiębiorstwo, nie tajno nikomu; jak powoli postępuje budowa w podobnych warunkach finansowych, wiedzą o tem wszyscy odwiedzający naszą świątynię oświęcimską, która od dwu lat napróżno błaga o pokrycie tynkiem i dekoracyami gołych ścian i nagich szkieletów swych majestatycznych łuków i sklepień.

Oto więc spis; wykluczone są z niego kaplice tak większe jak mniejsze: tu jedynie mowa o potężnych gmachach świątyń.

EUROPA.

Monarchia Austryacko-Węgierska.

1. Świątynia M. B. Wspomożenia Wiernych w Oświęcimiu. Odrestaurowanie ruin podominikańskich i przybudowanie kształtnego gotyckiego ośmioboku z artystyczną i śmiałą kopułą i wysmukłemi wieżycami. Plan inżyniera architekta Maryusza Ceradini'ego.

2. Kościół parafialny pod wezwaniem św. Rodziny w Daszawie. Rysował tenże inżynier.

3. Świątynia M. B. Wspom. Wiernych w Lubljanie (Kraina), jednonawowa, w fantastycznym gotyku średniowiecznych burgów. Roboty mularskie prawie na ukończeniu. Architekt budowniczy tenże Ceradini.

Hiszpania.

4. Kościół Najsł. Serca Jezusowego na górze *Tibi Dabo* obok Barcelony. Jest to monument narodowy, wzniesiony z okazyi końca wieku ubiegłego; będzie wspaniałą koroną historycznego wzgórza.

5. Świątynia Wspomożycielki w Madrycie. Tę poświęcono wprawdzie już po kilkuletnich pracach, lecz nagość ścian woła dotąd o litościwe serca.

6. Świątynia Wspomożycielki w Santander. Fundamenta ledwie ze ziemi widać, a tymczasem gdyby już była gotowa, czekałoby na nią tyle ludności robotniczej uboższych zaułków.

Anglia.

7. Kościół św. Maryi Magdaleny w Londynie. 8. września położono kamień węgielny, o czem pisały *Wiadomości*.

Uwaga. W **Guernesey**, wyspy Normandzkie, oddano Salezyanom dwie parafie, z których jedna niema kościoła. Prowizoryczna kapliczka, jaka stanęła za naszem staraniem, wnet będzie za szczupła, i wtedy powstanie kościół parafialny.

Szwajcarya.

8. Świątynia Wspomożycielki w Zürich. Jestto trójnawowy gmach w stylu gotyckim, przeznaczony wyłącznie celom stowarzyszenia *Azione Cattolica per gli emigrati*, zaprojektowanego przez X. biskupa Bonomelli.

Włochy.

9. Kościół św. Augustyna w Medyolanie. Styl oryginalny lombardzki, nawy trzy: uderza harmonią linii i bogactwem pomysłów ornamentyki. Prawdopodobnie w ciągu bieżącego roku odbędzie się jego poświęcenie.

10. Kościół św. Rodziny we Florencyi. Jeszcze św. pamięci nasz Ojciec ks. Bosko polecał jego budowę dla najludniejszego przemysłowego rionu Florencyi. Kamień węgielny poświęcił J. Em. ks. Kard. Dominik Svampa. Konstrukcya modelowana na starożytnej świątyni św. Krzyża, przez inżyniera Tincolini'ego.

11. Kościół na Testaccio w Rzymie, o którym była mowa w przedostatnim numerze *Wiadomości*, a także w niniejszym jest o nim wzmianka we *wiadomościach potocznych*.

AMERYKA - Brazylia.

12. Świątynia Wspomożycielki w **Jaboatão** koło Pernambuco. Kamień węgielny położono w marcu z. r.

13. Takaż świątynia w Nictheroy, która będzie godnem dopełnieniem monumentu, wzniesionego już ongi w tem mieście dla naszej łaskawej Patronki.

Argentyna.

14. W Buenos Aires nowy kościół pod wezwaniem św. Karola, jako homagium dla Boskiego Serca. Po licznych poświęceniach i przejściach krytycznych jest już na ukończeniu. Do publicznego użytku oddany będzie w ciągu tego roku.

15. Kościół przyległy do zakładu salezyańskiego w Bahia Blanca. Z projektowanych trzech naw zaledwie jedna jest pod dachem, a ta obecnie wcale nie wystarcza.

16. Swiątynia Matki B. Wspomożenia w Wiedmie (Patagonia). Olbrzymie rozmiary, na jakie jest projektowana, odpowiadają godnie ważności miejsca, w którem powstanie. Zaczął ją jeszcze ks. biskup Cagliero w roku 1903. Żeby przyspieszyć jej konstrukcyę, urządzono loteryę, na rzecz której nadesłali fanty wartościowe Ojciec św., J. Em. X. Kard. Merry del Val, sekretarz stanu Jego Świątobliwości, kard. Rampolla, dostojny nasz protektor, oraz inni kardynałowie i biskupi. Pomimo to wynik tej loteryi, choćby najświetniejszy, nie pokryje wszystkich wydatków.

17. Takaż świątynia w Trelew (terryt. Chubut-Patagonia).

Peru.

18. Kościół Wspomożycielki w Arequipa. Pyszna i artystyczna rotonda w czystym stylu korynckim: ex-voto naszych misyonarzy equatorskich, gdy pod naciskiem prześladowania za gen. Alfaro uciekali przez niedostępne góry i rozległe puszcze.

19. Takiż kościół w Lima-Brena. Powstanie naprzeciw Paseo Colon, tuż nad ulicą Bolognesi; zaopatrywać będzie potrzeby religijne tej gęsto zaludnionej części miasta.

Equator.

20-21. Dwa kościoły w stylu romańskim ze śmiałemi kopułami i bogatą ornamentyką w Quito i Riobamba.

Również w Gualaquiza czeka nas w krótkim czasie nowa konstrukcya, gdyż stara kapłica misyjna chyli się do upadku.

Kolumbia.

22. Świątynia M. B. Wspomożycielki w Mosquera. Kamień węgielny położono pod nią w czerwcu z. r.

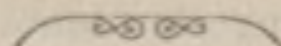
23. Kościół św. Rocha w Barranquilla - w stylu romańskim o trzech nawach. Był konieczny dla wzrastającej tu ciągle ludności przemysłowej.

Wenezuela.

24. Kościół Wspomożycielki w Caracas. Śliczna budowa gotycka.

Meksyk.

25. Takaż świątynia w Meksyku, w kolonii św. Julii. Olbrzymia to budowa gotycka, dawno już zaczęta, i jeżeli Bóg pozwoli, tego roku zostanie ukończona. Pierwsi skorzystają z niej liczni wychodźcy, których liczba wzrasta z dniem każdym.



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXVIII.

Przewodnik dusz. — Staje się wszystkiem dla wszystkich. — Objażdżki inspektorskie. — Ufność i szczerość. — Umiarkowanie. — Tajemnica jego wpływu. — Cierpliwość i stanowczość. — Potęga jego wymowy. — Wielka liczba przyjaciół. — Opiekun dzieci ludu. — Dziki oset. — Umiłowane dzieło. — Jubileusz roku 1886-go w Paysandú.

W swych częstych i długich podróżach po rzeczpltej Uruguay i po olbrzymiem państwie brazylijskiem nasz niezmordowany misyonarz nie poprzestawał na tem, że rozpoczynał nowe dzieła i rozbudzał zapał, lecz starał się dzieła zainicyowane podtrzymywać i podniecać zainteresowanie do nich. Nieraz krótki bardzo pobyt w jakiemś miejscu wystarczał, aby mu dać dokładne wyobrażenie o wszystkich szczegółach dotyczących oratoryów, oraz dusz, które mu były powierzone. Zakonnicy i zakonnice, nad którymi on sprawował bezpośrednią jurysdykcyę, mogą sami zaświadczyć, jak czujnym i gorliwym był zwierzchnikiem, i jak biegłym administratorem. Skoro pod jego okiem powstało jakie oratoryum, nie ustawał myśleć o jego potrzebach: dostarczał mu personału doborowego i zasiłków pieniężnych, dopóki nie był w stanie samoistnie się rozwijać. Dyrektorowie tychże zakładów znajdowali w nim każdej chwili nietylko roztropnego i troskliwego przełożonego, lecz także najczulszego ojca i serdecznego brata. Każdy z jego listów wnosił pociechę i otuchę do domu, do którego był zaadresowany. Nadzwyczajny atoli był skutek jego odwiedzin.

Zaledwo przybył do jakiego zakładu, zaraz po wymianie pierwszych słów nowe życie wstępowało w współbraci. Wielka była zawsze liczba tych, którzy chcieli otworzyć przed nim swe sumienie; to też długie godziny przesiadywał w konfesyonale, rozdając wraz z łaską sakramentalną, skarby swych zbawiennych rad i nauk. Wszyscy mieli sposobność odnowienia w sobie ducha pobożności i wiary. Podczas każdorazowego pobytu swego w zakładzie lubiał przedewszystkiem brać udział z podwładnymi w miesięcznem ćwiczeniu dobrej śmierci, dbając, aby odprawiano je z możliwie największem skupieniem: tak wielką przywięzywał do niego wagę, pouczony w tem doświadczeniem swego fundatora ks. Bosko. Ku wielkiemu zbudowaniu obcych, poświęcał dni całe bez przerwy wyłącznie dla swych synów duchownych, którzy też z dziecięcą prostotą przystępowali do niego, i z całą ufnością wlewali w jego ojcowskie serce swe troski, opowiadali mu o swoich słabościach, bólach, walkach wewnętrznych, zwycięstwach nad pokusą i namiętnością. Jakaż słodycz i spokój wstępowały do duszy po takiem zwierzeniu się! Swiatły kierownik dusz umiał zlewać balsam na rany, łagodzić cierpienia, uspokajać wzburzone serca; umiał także swą roztropnością usuwać braki, oraz stawiać tamę nadużyciom, jakie od czasu do czasu naturalnie zakradają się pomiędzy ułomnych ludzi. Lecz w tej pracy pełnej odpowiedzialności, nie same róże wyścielały drogę: niejeden ostry cierń utkwił w sercu gorliwego apostoła. Podwładni, choć pełni gorliwości i dobrej woli, byli jednak zawsze dziećmi grzesznego Adama, dalekimi od doskonałości świętych. Któż nie wie, że w życiu zakonnem obok najpiękniejszych kwiatów, napotykają się nieraz chwasty? — Pewnego dnia upominał ks. Lasagna z żywością jednego z braci, który się opuszczał w obowiązkach swego powołania. Biedny grzesznik nie chciał uznać swego przewinienia, i uparcie się usprawiedliwiał, tak że przełożony stracił na chwilę swój zwykły spokój i spór stał się z obu stron gwałtownym. W tej chwili zapukano do drzwi, i nieoczekiwany wszedł jeden z największych dobrodziejów zakonu. Twarz ks. Lasagni przybrała natychmiast zwykły wyraz, a gość nie dojrzał śladu gorącej

sprzeczki. Zacny przełożony z umysłu skierował rozmowę na tego, którego świeżo był gromił, wychwalając jego uczoność, wielkie usługi, jakie oddał Zgromadzeniu Salezyańskiemu, jego dobrą wolę i rzadkie przymioty. To też skoro przybyły się oddalił, biedny brat rozczulony i zawstydzony rzucił się do nóg ks. Lasagni, przepraszając że go zasmucił, odrzucając jego ojcowskie upomnienia. Sam potem opowiedział tę przygodę swoim towarzyszom.

Nie można się dostatecznie nadziwić łatwości, z jaką ks. Lasagna zapominał urazy, oraz serdecznej życzliwości, jaką okazywał tym, których przed chwilą zmuszony był napominać. W szkole ks. Bosko nauczył się tej sztuki podbijania serc swych braci i wszystkich podwładnych.

Piszący nie czuje się na siłach skreślić bodaj w bladym obrazie zbawiennych skutków, spowodowanych jego odwiedzinami, jakże więc jemu brać się do opisania swem lichem piórem zapału, jaki ognista wymowa tego syna ks. Bosko wzniecała wśród braci zakonnej, dziatwy szkolnej, w kołach Pomocników, i wogóle u jego słuchaczów jakiegobądź stanu i przekonania? Jedna konferencya, jedno kazanie wystarczały, aby wszelkie trudności, wszelkie przeszkody topniały jak śnieg pod promieniami słońca, a wola zapalała się nową energią. Niejedno z dzieł przez niego założonych powstało prawie w jednej chwili i było owocem jego gorącej wymowy, natchnionej gorliwością o zbawienie dusz. Iluż wrogów sprawy katolickiej pokonało jego mądre i stanowcze słowo, jego słodkie obejście! Iluż otwartych nieprzyjaciół przemieniało się w gorliwych apostołów tych samych dzieł, które poprzednio zwalczali! Można śmiało twierdzić, iż ktokolwiek wszedł z nim w stosunki czyto na drodze czysto urzędowej, czy prywatnie, zachował o nich zawsze najmilsze wspomnienie, a węzły przyjaźni, które raz zawiązał, nigdy się nie zrywały.

Wskutek tego koło jego znajomości rozszerzało się prawie z dniem każdym, a za największy zaszczyt poczytywał sobie, kto go mógł we własnym domu gościć i dopomódz mu, ilekroć prosił o jaki dobryczynny zasiłek. Dzięki tym przymiotom, które od pierwszego spotkania podbijały każdego, mógł z dobrym skutkiem udzielać przestróg, które od innego nie byłyby przyjęte, i wystąpić czasem z prośbą lub rządaniem, któreby u kogo innego były uznane za niedorzeczne i zbyt zuchwałe.

Nie zaniedbywał niczego, coby mogło dopomódz do zbawienia dusz; a zwiedzając kolejno oratorya, podwajał się: obejmował wszystko, żądał szczegółowych informacyi o administracyi i postępach domu, brał na siebie najcięższe trudy i najdłuższe prace, i dziwić się tylko trzeba, jak znalazł czas i siły, aby wszystkiemu podołać. Nigdy też nie zdarzyło się, aby nie oddał należnych oznak czci i poddaństwa władzom tak duchownym, jak świeckim; miał zwyczaj odwiedzać w dowód wdzięczności znaczniejszych dobrodziejów miejscowych, a nie lękał się przytem prosić o wsparcie, gdy go potrzebował dla swych biednych chłopców, lub na dokończenie jakiego rozpoczętego dzieła. Najdłużej zatrzymywał się po patronażach, spędzając nieraz całe godziny wśród dzieci ludu, które tam uczęszczały, i udzielając zachęty i wskazówek dyrektorom, katechetom i innym pracownikom w tem apostolskiem dziele.

Swiadectwo tej wielkiej łaskawości ks. Lasagni dla dzieci najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych daje przygoda, która mu się przydarzyła w jednem z oratoryów, a której opowiadanie słyszałem z ust dwu naocznych świadków. Znajdował się ks. Lasagna na dziedzińcu otoczony drobną dziatwą, i stając się za przykładem swego ojca ks. Bosko maluczkim z maluczkimi, dzielił ich zabawy. Ale kilka chwil poufałości z temi dziećmi nieokrzesanemi (pozbawionemi wszelkich delikatniejszych uczuć), które niedawno jeszcze włóczyły się bez dozoru po brudnych zaułkach, wystarczyło, aby je rozzuchwalić. Wyobrażając sobie, iż mają do czynienia z towarzyszem, zaczęły się do niego zbliżać z obejściem prostaczem i z wyrazami, jakich używali pomiędzy sobą. Skoro nikt ich zato nie karcił ani nie ganił, ani nawet nie było znaku niecierpliwości, posunęli swe żarty jeszcze dalej: zaczęli rzucać nań kamieniami, i co tylko było pod ręką. Jeden zaś, znalazłszy w kącie dziedzińca suchy oset, pełny najeżonych kolców, uderzył go nim prosto w twarz tak silnie, że kolce utkwiły w oczach. Tego było już za wiele, i wobec takiego objawu przyjaźni zacny kapłan musiał schronić się do swego pokoju, gdzie z wielkim trudem powyciągano kolce i wbrew słusznym obawom stwierdzono, iż źrenica nie była uszkodzona. Ks. Lasagna obrócił w żart tę smutną przygodę, i skoro tylko mógł, powrócił do tych biednych dzieci, które tem bardziej kochał, im więcej były opuszczone.

Wszystkimi zakładami swej prowincyi zajmował się z jednakową sumiennością, lecz miał

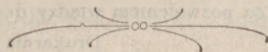
szczególne przywiązanie do kollegium w Villa Colon. Rzecz to całkiem naturalna: była to bowiem jego pierwsza i jego wyłącznie fundacya, nad którą tyle się napracował, tyle wycierpiał. Starał się też usilnie, by temu domowi nigdy nie zbywało na biegłych nauczycielach, doświadczonych asystentach; tam spędzał wszystkie chwile wolne, otaczając wychowanków, którzy z nieznacznymi wyjątkami należeli do najznakomitszych rodzin rzeczypospolitej, najczulszą troskliwością i starając się, by czynili rzetelne postępy w nauce i cnocie. Niebawem danem mu było oglądać owoce tych prac i zabiegów, w osobie wielu, którzy pozajmowali wybitne stanowiska w społeczeństwie brazylijskiem, pozostając wierni zasadom im wszczepionym i zachowując o miejscu swego wykształcenia jak najlepsze wspomnienie. Stowarzyszenie byłych wychowanków kolegium Villa Colon, pozostanie zawsze nieśmiertelną chlubą ks. Lasagni.

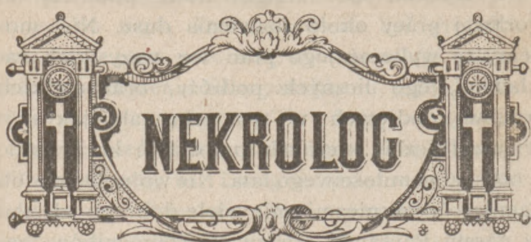
Poza tem ulubionem dziełem największą pieczołowitością otaczał Córki Maryi Wspomożycielki i ich liczne wychowanice. Tak naprzykład czytamy w monografiach naszych zakładów żeńskich w rzeczpltej urugwajskiej, iż skoro dom nabyty poprzednio w sposób prawie cudowny od p. Uriarte (o czem pisano w swoim czasie) okazał się za ciasny, ks. Lasagna zmuszony był znacznie go powiększyć. Ponieważ nie można było otworzyć kaplicy publicznej, urządzono w obszernej sali nowego budynku kapliczkę prywatną dla domowych potrzeb, którą Mons. Innocenty Jeregui, biskup Montevideo, osobiście poświęcił. Lecz znowu mała liczba Sióstr, przybyłych z Europy, nie mogła wystarczyć dla tak rozszerzonego zakładu: ks. Lasagna przeto, zawsze śmiały w swych pomysłach, stawia projekt własnego nowicyatu, do którego przyjmowanoby dziewczęta amerykańskie, powołane do życia zakonnego. Bierze się do dzieła, nie szczędzi trudów ani nakładu pieniężnego, i wnet pokaźna liczba nowicyuszek gotowała się do przyszłego zawodu. Obok ćwiczeń duchownych, uczęszczały one na wyższe kursa nauk, celem przygotowania się do egzaminów kwalifikacyjnych w rządowych zakładach naukowych. Ks. Bosko pochwalał i błogosławił te prace swego syna, i przepowiedział świetną przyszłość nowej instytucyi. Dzięki tym zasiłkom, wnet można było podjąć się zakładania nowych domów, i tym sposobem utworzyć osobną prowincyę urugwajską.

Nadzwyczajny jubileusz, ogłoszony światu chrześcijańskiemu przez śp. Leona XIII-go w roku 1886, był dla ks. Lasagni nową podnietą do gorliwej pracy około zbawienia dusz. Nie możemy tu wyliczać jego prac we wszystkich zakładach, jego licznych podróży, oraz ciężkich trudów, podjętych w tym celu, aby jak największej liczbie wiernych umożliwić korzystanie z odpustów miłościwego lata. Nie wolno nam atoli zamilczeć, jak niezmiernie wiele dobrego zdziałał w parafii Paysandú. Jeden z Pomocników, zamieszkałych w tem mieście, pisze o tem do ks. Bosko pod datą 20. maja w następujących słowach:

„Trzeba Ci wiedzieć, kochany Ojcze Bosko, że w ostatnim czasie przybył tu do nas ks. Lasagna; dla ożywienia wśród nas ducha miłości Bożej i żarliwości apostolskiej, bardzo pożądane było przybycie tego misyonarza, tak kochanego i cenionego w naszem mieście przez ludzi wszystkich stronnictw, którzy zgodnie oceniają jego usposobienie pojednawcze, jego niezmordowaną pracowitość i wielką bezinteresowność. Przygotował najpierw do Komunii wielkanocnej chłopców i dziewczęta w liczbie 250, i rozdał im ją własnoręcznie. Między nimi było około stu, którzy pierwszy raz przystępowali do Stołu Pańskiego. Nazajutrz, 10. maja, był dzień wyznaczony dla członków konferencyi św. Wincentego a Paulo, oraz dla biednych i starców, którymi się opiekują. Co za wzruszający był to widok! Gdyby tę scenę byli widzieli ci, którzy tak dużo rozprawiają o równości i braterstwie, mimo że znaczenia tych słów wcale nie pojmują! Byłem i ja obecny, i nie mogłem powstrzymać łez radości. Zbliżała się niedziela 16. maja, święto Opieki św. Józefa; dnia tego miała się odbyć Komunia wielkanocna mężczyzn, a przedewszystkiem członków *Kółka Katolickiego*. Miała to być pierwsza próba, a wiadomo, jak trudnym jest pierwszy krok na tej drodze w czasach otwartego prześladowania i rozmyślnej obojętności. Niektórzy uważali to przedsięwzięcie za niemożliwe i radzili zaniechać go, albo odłożyć, aby się nie narażać na pewny zawód; ale ufność gorliwych katolików i trudy ks. Lasagnii nagrodzone zostały świetnem powodzeniem. Pierwszy raz, odkąd Paysandú istnieje, ujrzano tu 120 mężczyzn przystępujących wspólnie do Komunii św. ze skupieniem, żarliwością i szczerą wiarą.“

(Ciąg dalszy nastąpi).





X. Kard. Marceli Spinola y Maestre

Arcybiskup Sewilii.

Dnia 19go stycznia b. r. opuścił to miejsce doczesnej pielgrzymki Najprzew. X. Marceli Spinola y Maestre, jeden z czterech kardynałów kreowanych przez Ojca św. na ostatnim konsystorzu w dniu 11go grudnia z. r. Jak dobitnie stwierdziło się na nim, iż śmierć na nikogo nie zważa! Zaledwie przed dwudziestu dniami otrzymał był w pałacu królewskim w Madrycie biret kardynalski z rąk młodego króla Alfonsa, — i nikt nie przypuszczał wówczas, że w niespełna trzech tygodniach przyjdzie mu spocząć na marach.

Zmarły Dostojnik Kościoła był nader gorliwym Pomocnikiem salezyańskim i wielkim wielbicielem Ks. Bosko. Jeden z najpiękniejszych życiorysów naszego drogiego Ojca wyszedł właśnie z pod pióra J. Em. X. Spinoli, ówczesnego tytularnego biskupa Milo.

Jako wielbiciel wszelakich dzieł miłosierdzia, przeplatał prace swego apostolskiego urzędu ciągłem spełnianiem najmilszej z cnót. Podczas strasznej klęski głodowej, jaka przed niedawnym czasem nawiedziła Andaluzyę, stanął na czele komitetu ratunkowego, przyczem widziano go pukającego do drzwi wszystkich zamożniejszych i proszącego o jałmużnę.... Pamięć takich ludzi na wieki bywa błogosławioną.

Wieczny spokój jego pięknej duszy!

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Belgraf Jan, — Brożno, *Prusy Zachodnie.*
Błachowiak Wincenty, — Utica, *Stany Zjednoczone.*
Bogacz Michał, — Osielec, *Galicya.*
Boik Jakób — Pretoszyn, *Prusy Zachodnie.*
Brzeziński Pankracy, — Kunowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Buda Paweł, — Porażyn, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Chrząszcz Emanuel, — Srebrniki, *Górny Śląsk.*
Czyszczan Magdalena, — Ciche, *Galicya.*
Dembińska Urszula, — Siemianowice, *Górny Śląsk.*
Dworzaczek Wincenty, — Mosty Wielkie, *Galicya.*
Foks Marya, — Świerkle, *Górny Śląsk.*
Fudala Anna, — Ciche, *Galicya.*
Gładysek Jan, — Balin, *Galicya.*
Głogowska Anna, — Rajcza, *Galicya.*
X. Górski Roman, — Kórnik, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*
Grau Antoni, — Bączek, *Prusy Zachodnie.*
Holewa Michał, — Zaborze, *Górny Śląsk.*
Janiszewski Jakób, — Utica, *Stany Zjednoczone.*
Justa Maryanna, — Pelplin, *Prusy Zachodnie.*
Kalke Marya, — Radłowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
X. Komperda Wojciech, — Czaniec, *Galicya.*
Łukoszek Ludwik, — Królewskahuta, *Górny Śląsk.*
X. Medycki Bolesław, — Nadyby Wojutycze, *Galicya.*
Nikel Anna, — Rude Piekary, *Górny Śląsk.*
Plotke Marcyanna, — Okuniewo, *Prusy Zachodnie.*
Potrykus Andrzej, — Szynwałd, *Prusy Zachodnie.*
X. Rynkowski Jan, proboszcz, — Gorzęczyn, *Prusy Zachodnie.*
Sarna Jadwiga, — Jaworzno, *Galicya.*
Skubacz Konstanty, — Gliwice, *Górny Śląsk.*
Sladowy Leon — Piła, *Wielkie Ks. Poznańskie.*
Wojciechowski Jakób, — Chwałkowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI.